



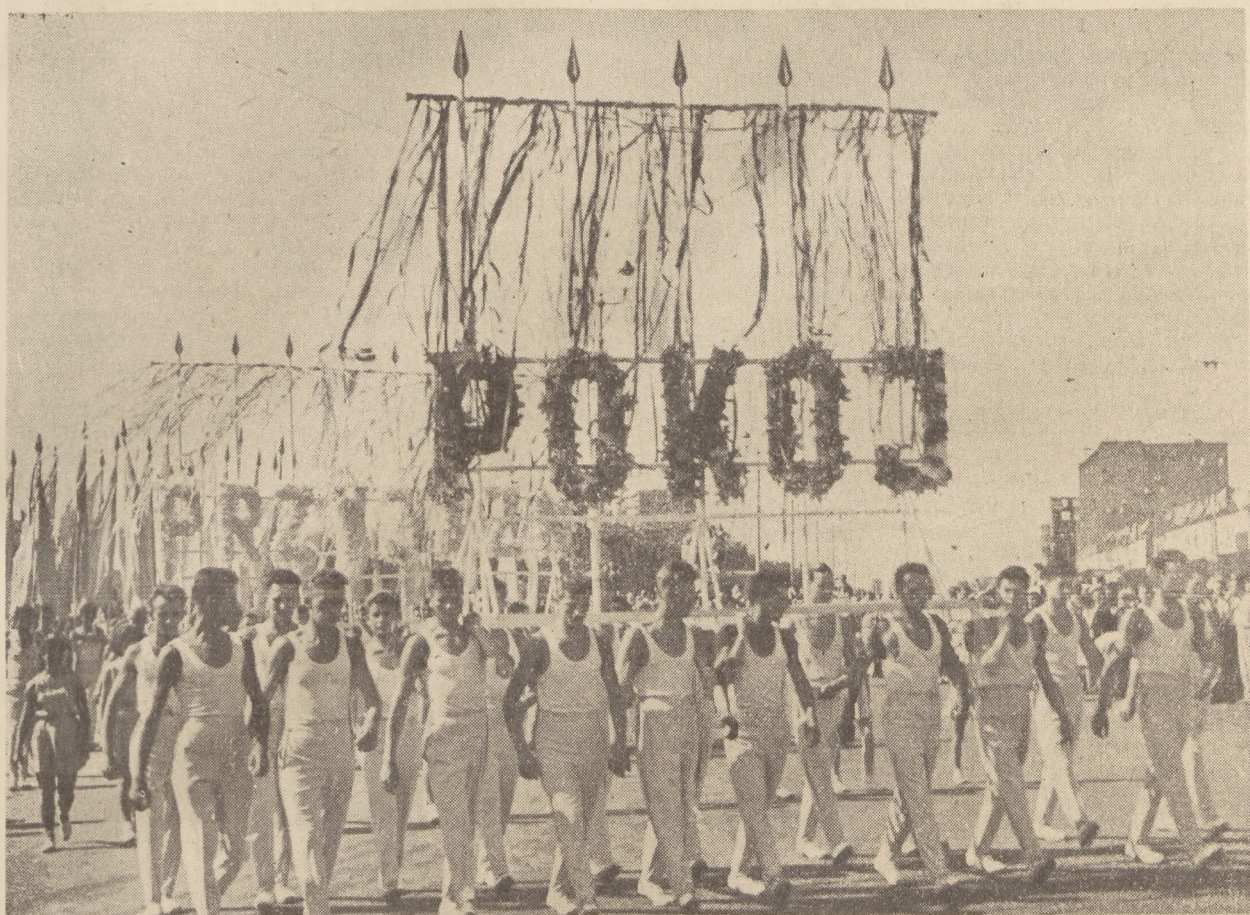
NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 7 sierpnia 1955 r.

Nr 32 (280) Rok VI



JAN STRZELECKI

KIERMASZ BRATERSTWA

Jak nazwać inaczej to wszystko co dzieje się każdego dnia w Warszawie, wystrojonej dla gości ze świata jak dziewczyzna na niedzielny spacer?

Nadciągają do złotych miasteczek karawany młodych, z tysiąca gór i tysiąca rzek, ze wszystkich krańców globu, znosząc sobie wzajemnie wszelkie skarby swej ziemi: swoją sztukę, swe tańce, obyczaje, poglądy i dążenia. Szukowali się skrzętnie i odświętnie do tej wielkiej wymiany; rozwiązyli teraz swe podróżne wory, rozłożyli szeroko przyniesione cuda i pokazują — na konkursach, przyjęciach, spotkaniach — to co ich młodość wybrała z kultury ich krajów, to z czego mogą być dumni na wielkim zlocie przyjaźni. Ich przybycie przekształciło Warszawę w rozległy obóz narodów, bazar mieniący się kulturą setki krajów świata. Cieszą się ze swej bogatej różności, ciekawi siebie jak goście z siódmej rzeki; w lot odnajdują — pod tą różnością — wspólne słowa, wspólne przeżycia, wspólne dążenia. Są co dzień, przez dwa tygodnie, uczestnikami wielkiego, idei i zabawy pełnego **k i e r m a s z u b r a t e r s t w a**, biorąc udział w umacnianiu pięknego, najpełniejszego nadziei obyczaju naszego czasu.

Aniśmy się spostrzegli, jak stało się już o b y c z a j e m to wielkie święto, którego idea znalazła sobie w ciągu paru powojennych lat tysiąc kształtów wśród wszystkich niemal narodów świata. Jest to idea uparta, dziecinnie prosta i zarazem mądrzejsza i trwalsza od wszelkiej chytrkości stawiającego jej przeszkody świata. Powtórzmy jej formułę spisaną dziś najkrócej przez autora „Żywego i martwego morza”: „Aby człowiek nie krzywdził człowieka, jeden naród nie uciskał drugiego”. Ta idea jest ciągle nowa nieustanną nowością doświadczeń i nadziei każdego pokolenia, jest chyba w jakiś nieporównany w świecie sposób bliska nam, wyrosłym w e p o c e p i e c ó w, i im, młodszy, po których słońce sięgał grzyb znad Hiroszimy, Nagasaki i Bikini, trujący wszelkie życie. I pozostanie nowa aż do czasu, kiedy stanie się oddechem świata, tak jak teraz jest oddechem warszawskiego spotkania.

Nastrój tego kiermaszu rozlewa się bardzo szeroko; Starsi panowie

z instytucji opiekujących się delegacjami szukają po bibliotekach książek na temat swoich podopiecznych krajów i odbywają, pod dowództwem ZMP-owców, dyskusje nad historią — dajmy na to — sztuki narodów Polineezji. Warszawskie budowy rozbrzmiewają piosenkami Yvesa Montand. Wiele ludzi w najroźnieszym wieku pojmuje jaśniej niż dotychczas, jaśniej o całe to sierpniowe niebo łopocące barwami wszystkich narodów świata — że to co się u nas dokonuje jest ważne i doniosłe dla najdalszych zakątków świata, że ludzie dobrej woli czekają z zaciętą nadzieją na to co tworzymy, że ta nadzieja — właśnie często każe im się z nami kłócić, bo kłóca się o własną sprawę; że sprawdzają nas jak pedantyczni buchalterzy, z jakimś gorącym, ukrytym oczekiwaniem, że uda się nam ich przekonać.

Nie sprawmy im zawodu...

Ten świetny kształtujący się w naszych oczach, w naszych rękach obyczaj uderza cechą jaskrawą, jak festiwalowe korowody na przybranych warszawskich ulicach. Jest w nim wielka pogoda, jest cały przetkany śmiechem, przetkany zabawą; nikomu przy tym nie przychodzi na myśl, aby miało to ujmować mu powagi. Jest taki jak młodość. Nadwiślański karnawał „z cyrkiem i fajerwerkami” sąsiaduje z dyskusjami nad historią minionej wojny; staromiejski apel w rocznicę Hiroszimy poprzedza święto dziewcząt, w którym, jak zaleca najtajniejsza instrukcja, należy ze szczególną troską dbać o przyszłe szenie rozwoju międzynarodowych uczuć w sercach różnokolorowych solenizantek. Wymianie doświadczeń i myśli, wymianie osiągnięć i sprawozdań z walki — towarzyszy nieodstępnie wymiana chustek, znaczków i uśmiechów.

Jest jakoś bardzo wesoło i bardzo zarazem straszliwie.

Rozbiła się nad Warszawą, jak powiedziałaby Tuwim, wielka bania z najprostszą i najrzetelniejszą poezją naszego czasu: poezją młodości broniącą swej przyjaźni, swego dachu i swej przyszości — i zarazem dachu, przyszości i honoru wszystkich ludzi świata.

Jan Strzelecki



Foto Władysław Piotrowski

ZBIGNIEW STOLAREK

Nie ma urlopu od rzeczywistości

Właściwie nie a nie nie umiałbym powiedzieć o Robertcie ponad to, że spotykając go na ulicy Duhesme, podczas cotygodniowych zebrań w siedzibie jednej z sekcji FPK osiemnastej dzielnicy Paryża, wymieniałem z nim uścisk ręki i tradycyjne „salut, camarade”. Była to więc znajomość, którą niesposób nazwać choćby jako tako zażyłą.

Z całą też pewnością więcej niż z nim mógłbym powiedzieć o swojej garści młodych ludzi z paryskiego Miasteczka Uniwersyteckiego — mimo, że przebywałem tam o wiele wcześniej niż zacząłem przychodzić na ulicę Duhesme. Przypomnienie ich sobie dzisiaj — w okresie Festiwalu — byłoby zresztą o tyle bardziej narzucające się, że przecież mieszkalem tam lokieć w lokieć ze studentami około pięćdziesięciu narodowości i, z grubszą biogą, czterech kolorów skóry. A jednak nikt inny lecz właśnie Robert przyszedł mi ni stąd ni z owąd na myśl w atmosferze ogarniętej Festiwalu Warszawy. W pierwszej chwili nie bardzo nawet potrafiłem wyjaśnić sobie samemu, dlaczego zebrało mi się na wspominki akurat o Robertcie, skoro nasza znajomość była tak bardzo cienka.

Szybko też zdałem sobie sprawę, że jednak zaszło pewne nieporozumienie. Że nie chodzi mi tyle o Roberta — tego chłopaka średniego wzrostu, o krótko przyciętej czuprynie i piwnych, żywo patrzących oczach — lecz o sytuację, w której widziałem go ostatni raz, a jeszcze bardziej o wszystkie te sytuacje późniejsze, w których nie mogłem go już widzieć.

Prawdę mówiąc, nie stało się

wówczas nic szczególnego. Po prostu, jak się w owych dniach zdarzyło wielu młodym ludziom w jego wieku — to znaczy w wieku poborowym — Robert szedł do wojska. No i żegnano go więc na ulicy Duhesme z rubaszną serdecznością. Tyle tylko, że serdeczność była o kilka stopni cieplejsza niż się zazwyczaj dzieje przy tego rodzaju okazjach. Wynikało to stąd, że jednostka wojskowa, do której Robert otrzymał przydział, stacjonowała w Algierze.

W owym okresie trudno było nie interesować się doniesieniami prasowymi o procesach politycznych, które się toczyły przed francuskimi sądami w algerskich miejscowościach Bone, Bougie i Blida. Były to procesy, do których przygotowywano oskarżonych w dość szczególny sposób: „Związawszy mi nogi i ręce — mówił m. in. jeden z oskarżonych, Khefer Mohamed, w swojej suplice — wsunęto mi stylisko szpadla w zgięcie między kolanami i obydwu łokciami. Następnie posadzono mnie na butelce, tak że jej szyjka wchodziła mi w odbytnicę a jednocześnie inspektorzy policyjni Dupuis i Tavera René nacierali z całej siły na moje barki... Tam (w innym już lokalu policyjnym, do którego Khefer został z kolei zaprowadzony) rozebrano mnie do naga, potem związano mi obydwie ręce i obydwie stopy, wsuwając następnie między zgięcie kolan i łoki stylisko łopaty. W tej pozycji głębokiego przykucia zanurzono mnie, przewieszono na dragu, w wannie pełną zimnej wody powtarzając tę czynność topienia osiem czy dziesięć razy aż zupełnie straciłem przytomność. Tę samą operację, tylko że dłużej trwającą, powtórzo-

no po południu w czas równie zimny. Takiej samej lecz trwającej jeszcze dłużej operacji zostałem poddany dnia następnego około godziny szóstej rano. Czwartki i ostatni tego rodzaju zabieg odbył się po południu i trwał około trzech kwadransów. Przeszedłem jeszcze przez bicie, podczas którego wybito mi ze stawu prawe ramię. Po takich torturach, jakich człowiek znieść nie jest w stanie, narzucono mi zeznania, które są mi zupełnie obce...”

Były to procesy poprzedzone aresztowaniem tysięcy osób i takim przysposabianiem oskarżonych do zeznań, że nie wydaje się, aby tylko częścią przechwałką była ta „wstępna informacja”, którą jeden z policyjantów rzucił aresztowanym: „jakby się nawet sam Bóg tu znalazł, też byśmy go przyuczyli śpiewać...”

Jednak o tym wszystkim bodaj nie było mowy, gdyśmy się uśmiechali do Roberta, tak jak się zazwyczaj zwykło uśmiechać przy pożegnaniach, wyrażając mu uściskiem dłoni, lub też pozornie szorstkawym klepieniem po ramieniu, to wszystko co się nie bardzo daje wyrazić słowami, ponieważ czuje się w takich chwilach, że słowa mają zbyt wielką skłonność do emfazy. Więc tak samo, w sposób jak najbardziej codzienny, została również rzuczona uwaga: „to w Algierze będzieś, Robert...” Nie miała ona w sobie nic z pytania ani też z upewniania się, ani nawet ze stwierdzenia faktu, który przecież nie tylko dla Roberta, ale dla nas wszystkich był już jak najbardziej oczywisty.

— Tak, w Algierze, wiem — odparł wtedy Robert. Z jego strony także

nie było to przyznanie, które by uważał za zbędne.

Nie pamiętam już dokładnej daty jego wyjazdu. W każdym razie była to jesień 1952 roku. Może więc zdarzyło się, że akurat 17 listopada był w pociągu na stacji Bone, gdzie z przedziału do przedziału i z rąk do rąk wędrowały ulotki mówiące poborowym o losie ludności Algieru i apelujące do ich sumień. Może też przybył tam kilka dni wcześniej i znalazł się w garnizonie w Batna akurat 2 listopada, kiedy żołnierze zbierali chyłkiem ulotki o podobnej treści. Jakkolwiek by jednak było, obecnie — w ostatnich dniach lipca 1955 r. — stanęło przed trybunałem wojskowym w Constantine czterech patriotów algerskich i pięciu młodych Francuzów, b. żołnierzy jednostek stacjonujących w Algierze. Są oskarżeni o kolportowanie wspomnianych ulotek — o demoralizację armii.

Nie, wcale nie o to chodzi, by wśród nich znajdował się Robert. Ich nazwiska są zupełnie inne. Dla mnie jednak każdy z tych oskarżonych ma twarz Roberta. Więcej nawet: widzę go jednocześnie jako żołnierza wciąż jeszcze odbywającego swą służbę wojskową w Algierze — mimo że najpewniej wrócił już do cywila i od miesięcy jest w Paryżu, gdzie tylko z gazet dowiaduje się, jak wielkim przeobrażeniem uległa sytuacja w Algierze. A nawet najbardziej skąpe relacje dziennikarskie o walkach (w których z jednej strony jest determinacja, by za wszelką cenę skończyć z uściskiem i zdobyć wraz z wolnością prawo do życia, a z drugiej strony: terror bijący w dziesięciomilionowy naród w imię interesu tych co za swe nie naruszane prawo uważają przemoc i wyszysk zgodnie z zawołaniem „dawać burnusom na poty!”) — wystarczają najzupełniej, aby wiedzieć, że bled algerski równie obficie jak potem spływa krwią.

Jednak poprzec owe relacje niesposób dojrzeć młodych Francuzów — każdego z o s o b n a — którzy jako poborowi zostali skierowani do Algieru. W każdym razie mundur jaki mają na sobie nie może być dla algerskiej ludności niczym innym jak tylko jednym z symboli brutalnej i rozwydrzonej przemocy, do której nienawiść jest rzeczą sprawiedliwą i słuszną. A przecież w tych samych mundurach są ludzie, którzy mają twarz Roberta. A przecież taka czy inna twarz — z tej czy z tamtej strony — nie broi przed kulą karabinową ani przed wybuchem granatu. Nazbyt dobrze o tym wiedzą i rodziny algerskie, i rodziny francuskie — oplakujące zabitych. W sumie — nonsens tym bardziej potworny, że wciąż trwa, że się nie kończy.

Należy jednak powiedzieć, że wbrew zamierzeniom tych, którzy postawili przed trybunałem wojskowym w Constantine pięciu b. żołnierzy francuskich i czterech patriotów algerskich, proces ten stał się jednocześnie widowym świadectwem innych spraw: oto solidarność i ludzkie braterstwo, które ponad wszelką wątpliwość ukazują swą twarz — z ławy oskarżonych...

Przygotowania do procesu w Constantine rozpoczęły się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Warszawa już na dobre zaczęła się przygoto-



Foto Władysław Piotrowski

(Dokończenie na str. 2)

JERZY LOVELL

Reportaż o pokusach władzy

Wztrząśnięty, czytałem: „Trudno wymienić wszystkie upolowane przez dyrektora Dwornika kobiety na naszej budowie (...) gdyż z uwagi na tzw. opinię kazała z nas mus być dyskretna. Stwierdzam to na podstawie wianego smutnego doświadczenia. (...) Obecnie czuję się spowiewierana jak pies, nie śmiało spojrzeć w oczy rodzicom, którzy niczego się nawet nie domyślają (...). Niestety, muszę stwierdzić, że inaczej wyglądają ideały na ławie szkolnej, a inaczej wygląda życie”.

Anonim zawierający sporo nazwisk i faktów sprawdziłem dokładnie. Padł w grze jako nieprzewidywany atut i przesądził ją ostatecznie: dyrektorem Dwornikiem została się prokuratora.

II

Anonim trzeba było z powrotem oddać do redakcji. Przeglądaliśmy przy sposobności całą teczkę. Dawno, instynktownie do niej उपреждали nie zniknęło. Teksty szybko nauczyły odróżniać naiwnych w bezsilne wściekłości letrów i perfidnych „fozabiacych“ od ludzi uczciwych albo ostrożnych, słabych, zalegających. Pretensje i oskarżenia można już było, przyjąć z jakimś procentem zaufania; na tyle przynajmniej, aby z wielu niepewnych faktów szcze-gółowych zbudować kilka bezspornych prawd ogólnych.

Zaplute anonimy reakcji zasypa-
już kurz wieku lat. Nie warto ich
odgrzebywać. Ich autorzy albo po-
godzili się z historią, albo pozostali
wrogami, ale wytrawniejszymi, ni-
bawiacymi się już w dziecinna woj-
nę wymysłów. Okres późniejszy
okres walki o czystość i rewolucyj-
ną bojowość szeregów partyjnych
aparatu państwowego, przynosił ci-
dzień na redakcyjne biurko list
demaskujące wrogów i dwulicow-
ców. Przynosił także skargi na bez-
dusznosc i nadgorliwość personal-
nych i dyrekto-ów, sekretarzy i in-
struktorów. Napastliwe zdania i l-

strająć p swojemu wielkie p o l i
t y c z n e rozstrzyganie się rewol
lucji. I potem, powoli narastając
p o dzień dzisiejszy, wycisłały się
ten zgiełk bitewny sprawy z pozoru
blahsze: że ktoś „bumelował”, że
ktoś kradł, ktoś krzywdził, ktoś za
łatwiał p o kumotersku, ktoś „dygni
tarzył”, ktoś nadużywał swego sta
nowiska... Przy niezmienniej si
l ognia – pole obstrzału przesuwa się
niepostrzeżenie w obręb zawiłych
do wewnątrz skierowanych proble
mów obyczajowych, moralnych
etycznych.

Zamknąłem teczkę z przeświadczeniem, że patrzyłem jeszcze w jedną, nie zwierciadło epoki. Odbity się od nim w sposób obiektywny, bez deformacji, rozwojowe procesy wspólczesności w kolejnym swym następstwie i uwarunkowaniach. Określenie zdobywania władzy i gruntowania

też wyostrzał w pierwszym rzędzie kryteria polityczne, kładł nacisk na świadomość polityczną, bezkompromisowość, oddanie. Uderzeniowi ofensywne rozwinięcie frontu gospodarczego, walka o ekonomiczne podstawy socjalizmu uzupełniła te kryteria o pojęcie nowego stosunku

do pracy wysunęła na plan pierwszy sprawy sprawdzian wydajności produkcji, świadomej i ofiarnej realizacji planów. Stabilizacja politycznej i ekonomiczna, wzrost stopy życiowej i pokusy „obratania w szał” — przyniosły kolejną po „frontowej”, surową próbę charakterów — konieczność wystrzeżenia kryteriów etycznych. Nastąpił nieubłagany proces rewolucji: śmieci, które w pierwszym porywie wyniosła wysoka fala, opadają na dno — przejażdżka na rachunek rewolucji kończy się, kiedy nurty się uspokoją.

kajaja. Na tle tych uspokojonych (oczywiście nie w sensie zaprzestania walki klasowej, ta toczy się dalej w nie mniej ostrych formach) hurtów każdy czyn ludzki nabiera ostrości i wagi; każdy jest odpowiedzialny nie tylko na pytanie: „jesteś z nami czy przeciw nam?”, ale i „jaki z ciebie człowiek?”. Pytania te wyszły poza ankiety, są na ustach wszystkich, na ustach mas, które nauczyły się odważnie osądzać i krytykować ludzi, w ich imieniu sprawujących władzę. Kryteria politycznych sprzeczki są z moralnymi; autorzytet rewolucji uzależnił się także od „czystych rąk” i kryształowych charakterów.

— Podam wam dalszy materiał do analizy. Zapiszcie: 90 procent ludzi wykluczonych przez nas za wykroczenia natury etycznej nie sięgało wieku 45 lat. Większość z nich wyrosła z awansu i tego społeczeństwa.

su. Ba, ta większość zarabiała raz-
razem dobrze, a nawet bardzo do-
brze. Jak połączyć te fakty, jak
sprowadzić je do wspólnego mia-
nownika? Jest w ludziach głód ży-
cia — pochodna
ciężkiego dzieci-
stwa, ciężkich lat
okupacji, ciężkich
lat powojennych.
Pieniądze rozu-
mują. Dziś
zarazem wpływ

...mieszkańskich elementów nowego środowiska. Mieszkaństwo znów się aktywizuje. Atakuje swoim stylem życia, swoją amoralnością, swoimi umiłowieniem zbytku, łatwiną, blichru... Tu się toczy walka, z której często nie zdajemy sobie sprawy: błąka z pozoru i niewidocz-

na, a wykuszająca nasze szeregi
(Dokończenie na str. 7)

ANDRZEJ SZCZUPIORSKI

WSZYSTKO STAJE SIĘ MOŻLIWE

I
W swej „Historii świata” van Loon przytacza piękną legendę zasłyszana od islandzkich rybaków. Legenda ta głosi, że na krańcach lodowej północy olbrzymia skała wyrasta z wód oceanu. Co sto tysięcy lat przylatuje tutaj ptak życia i ostrzy sobie stalowy dziób i stalowe pazury o szczyt. Potem odlatuje na południe, aby powrócić po stu tysiącach lat.

Legenda powiada, że gdy ptak stępi swymi szponami skałę do tego stopnia, że jej wierzchołek skryje się w wodach oceanu — wówczas mija jeden dzień w historii świata.

II

Dziewiątego sierpnia 1945 roku pastor Eston Mons ze stanu Illinois wygłaszając kazanie zawołał: „Jeżeli ta bomba rzeczywiście jest prawdą — to znaczy, że Bóg nie istnieje”.

Okrzyk ten wyrwał się z ust pobożnego kapłana na wieść o szczegółach dotyczących wybuchu bomby atomowej, która trzy dni przedtem — szóstego sierpnia 1945 roku — spadła na Hiroszimę. Wielebny Eston Mons nie wiedział, że w chwili gdy publicznie wygłaszał słowa świadczące o wątpliwym w stworzenie, druga bomba atomowa spustoszyła już Nagasaki.

Redaktorzy wielkich dzienników całego świata przezwali wówczas chwile niezwykle. Wieczorem szóstego sierpnia nikt na kuli ziemskiej nie znalazł jeszcze szczegółów tragedii, która rozgrywała się w Hiroszimie. Z wyspy Wake, gdzie mieścił się sztab operacyjny armii USA walczącej na Dalekim Wschodzie, nadszedł suchy, krótki komunikat. Zawiadamiał on ludzką, że w Hiroszimie wybuchła bomba „o niezwyklej sile niszczącej”.

Prasa całego świata zapełniła się artykułami, w których autorzy podejmowali próby wyjaśnienia nowego, niezrozumiałego zjawiska. Komentator „San Francisco Sun”, największego dziennika na wybrzeżach Pacyfiku, pisał siódmego sierpnia w wydaniu nadzwyczajnym:

„Jest to bomba, która kruszy i równocześnie wywołuje pożary. Jej siła niszcząca przewyższa swym działaniem siłę niszcząca dwudziestu bomb dziesięciotonowych.”

Pisząc te słowa komentator „San Francisco Sun” przypuszczał zapewne, że daje się ponieść fantazji.

Enrique Bernal, człowiek który pilotował samolot „Enola Gay”, w wywiadzie udzielonym korespondentom wojennym rankiem siódmego sierpnia oświadczył: „To było straszne. Przez pięć minut byliśmy

ślepi. Błysk poraził nam źrenice. Nikt z nas nie słyszał eksplozji. To było straszne”. Japońska służba przeciwlotnicza, której oddziały znalazły się w objętych pożarem rejonach Hiroszimy w pół godziny po wybuchu bomby zaopatrzonej broni radioaktywnej przez Amerykanów. Ale wiedzieli o tej broni bardzo mało. Oficjalny komunikat radia tokijskiego z siódmego sierpnia podał: „Na skutek nalotów samolotów typu B-29 miasto Hiroszima poniosło znaczne straty. Użyta została bomba nowego typu. Władze wojskowe i cywilne przystąpiły do badania szczegółów.”

Tego samego dnia o godzinie 14 minut 50 prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył przez radio:

„Bomba, której wybuch nastąpił wczoraj w Japonii, powstała w wyniku epokowego odkrycia naukowego. Jest to bomba atomowa. Jej siła niszcząca jest dwa tysiące razy większa od bomby angielskiej typu „Grand Slam” (Wielki Trzask), która jak wiadomo była najsilniejszą bombą jakiej użyto w historii wojen. Bomba, która eksplodowała wczoraj w Japonii, jest potężniejsza od 20 tysięcy ton TNT (trójninitrotoluol). Eksperymenty związane z wyprodukowaniem tej znakomitej broni (excellent arms) kosztowały Amerykę dwa miliardy dolarów. Żaden inny kraj na świecie nie mógł doświadczyć do tego stopnia potęgi jaką reprezentują dzisiaj Stany Zjednoczone.”

Oredzie Trumana zawierało odpowiedź na dwa pytania nękające świat przez całą poprzednią dobę. Stało się wiadome, jaka bomba zmioła z powierzchni ziemi Hiroszimę i stało się jasne w jakim celu tę bombę zrzucono.

Wielebny E. Mons, człowiek ze stanu Illinois, zawołał z rozpaczą: „Jeżeli to jest prawda — Bóg nie istnieje.”

III

Bombowice amerykański typu B-29, z którego zrzucono bombę atomową na Hiroszimę — był zwyczajnym samolotem operacyjnym. Jego załoga składała się ze zwyczajnych ludzi, żołnierzy sił powietrznych na Dalekim Wschodzie. Ludzie ci nie byli zbrodniarzami, zbrojcami, wrzucali bombę społeczeństwu. Byli to obywateli kraju, których przyszłość rokowała piękne i wielkie nadzieje. Nie wiedzieli co mają uczynić. Wiedzieli tylko, że zrzuca bombę o wielkiej sile wybuchowej, bombę o właściwościach radioaktywnych.

I oto szóstego sierpnia roku 1945 jeden z nich nacisnął mały guzik. Sto tysięcy ludzi zginęło w błysku sekundy.

Kiedy powrócił z raidu nad Hiroszimę — byli zbrodniarzami. Kiedy powrócił z raidu nad Hiroszimę — byli starcami, dla których życie stało się pasmem uroków. Pójeli, że nadeszły dla świata czasy wielkiej odpowiedzialności każdego człowieka.

IV

Wybitny uczony atomowy, profesor Kapica, powiedział kiedyś, że sprowadzanie problemów atomowych do dyskusji na temat bomby atomowej ma taki sam sens, jak np. sprowadzanie problemów energii elektrycznej do dyskusji na temat krzesła elektrycznego.

Układ warunków historycznych sprawił, że ludzkość wkroczyła w epokę atomową przez wrota śmierci, pożogi, cierpienia i bestialstwa. Dziesiątki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci padły na progu nowej epoki, a ich śmierć stała się ostrzeżeniem dla żywych. „Wielki Błysk”, który oświecił gatunek ludzki na nowym etapie bytu — nie jest jednak symbolem epoki. Czas atomowy otwiera przed człowiekiem nieograniczone możliwości rozwoju. Otwiera erę wielkości człowieka, erę jego walki o niepodzielne panowanie nad wszechświatem.

Człowiek przeszłości był istotą przeżywającą odwieczny konflikt pomiędzy swą nieograniczoną fantazją a swymi ograniczonymi możliwościami. Człowiek przeszłości często nie rozumiał otaczającej go rzeczywistości, lecz wszystko co stworzył aby polepszyć warunki swego istnienia — leżało w granicach jego percepcji.

Nasze pokolenie stworzyło zjawiska, których nie może jeszcze dzisiaj pojąć, ogarnąć i zrozumieć. Wielowiekowe doświadczenia rodzaju ludzkiego złożyły się na to, że człowiek współczesny wyzwolił energię atomową. Doświadczenia te jednak nie wystarczyły, aby człowiek współczesny mógł pojąć i zrozumieć nowe zjawiska i problemy.

Zdrowy rozsądek uczy nas, że można sobie wyobrazić tylko to co obiektywnie istnieje. Wszelako nie wszystko co istnieje można sobie wyobrazić. Ludzki umysł i doświadczenie obejmują tylko ograniczone etapy rozwoju fragmenty bytu. Istnieją w rzeczywistości obiektywne zjawiska, których nasze pokolenie nie potrafi sobie wyobrazić.

Epoka rozbitcia atomu i wyzwolenia energii atomowej otwiera przed nami wrota wiedzącej w krainę, w której nie umiemy się jeszcze poruszać. Nasze doświadczenia historyczne okazały się skąpe i niewy-

starzające. Nasza fantazja działa z wielkim trudem, ponieważ fantazja jest to suma przekształconych, syntetycznych wyobrażeń, a tymczasem wyobrażeń o nowej epoce mamy na razie bardzo niewiele.

Zegar atomowy dzieli sekundę na sto dwadzieścia milionów różnych części.

Czyż olbrzymie doświadczenia ludzkości jako gatunku mogą nam przyszyć z pomocą w zrozumieniu tego zjawiska?

Jeden kilogram uranu poddany procesom wyzwalającym energię atomową może uruchomić wszystkie agregaty przemysłowe kuli ziemskiej na okres kilku lat.

Czyż doświadczenia wszystkich naszych przodków mogą nam ułatwić pojęcie tego faktu?

Sekunda stała się wielką jak wiek, świat stał się mały jak chatka.

Wszystko staje się możliwe. Nasza fantazja jest dzisiaj ograniczona, ale nasze możliwości działania są dzisiaj nieograniczone.

Paradoks naszych czasów polega na tym, że wciąż jeszcze wyobrażamy sobie tylko to do czego jesteśmy przyzwyczajeni, co przekazała nam tradycja historyczna jako możliwe i osiągalne, co mieści się w naszym schemacie myślowym zroczonym w poprzednich epokach. Kurczowo trzymamy się jeszcze dzisiaj fizyki klasycznej, choć jej prawa leżą już częściowo w gruzach, rozbita teoria względności. Kurczowo trzymamy się jeszcze dzisiaj prawdziwości medycyny dziesiętnastowiecznej, choć te prawdziwości przestały być prawdziwe w obliczu zagadnień jądrowych. Nie potrafimy stosować energii atomowej bez pośrednictwa, lecz wpręgamy ją w starą technikę epoki pary i elektryczności.

Wciąż jeszcze nie przekroczyliśmy granic tradycyjnego myślenia naszych poprzedników. Mówimy o przedłużaniu życia, ale pełni lęku milczymy o nieśmiertelności. Mówimy o energii, o masie, o przestrzeni, ale pełni lęku milczymy o czasie. Mówimy o materialnych właściwościach promieniowania, ale pełni lęku milczymy o materialnych właściwościach myśli. Mówimy o reakcji atomowej uranu, ale pełni lęku milczymy o reakcji atomowej mózgu ludzkiego.

Świadomość była, jest i będzie określana przez byt, przez obiektywną rzeczywistość. Warunki obiektywnej rzeczywistości zawsze zmieniają się szybciej niżeli ludzkie wyobrażenia. Ale nigdy jeszcze w dziejach człowieka rzeczywistość tak bardzo nie wyprzedziła swego odbicia w świadomości ludzkiej jak właśnie w naszych czasach.

Nie ulega wątpliwości, że prawda obiektywna jest dostępna człowie-

kowi. Cała historia ludzkości świadczy o tym i dobitnie. Ale nie ulega też wątpliwości, że w miarę jak człowiek się doskonali, zdobywa doświadczenia, rozwija swe możliwości poznawcze — rozszerzają się horyzonty rzeczywistości, mnożą się jej niezbadane elementy.

Wyzwolenie energii atomowej sprawiło, że ogromnie zwiększyły się obszary rzeczywistości obiektywnej, które trzeba zbadać jak najszybciej.

V

Warunki bytu kształtują ludzką moralność i obyczaje. Rzecz w tym, że w historii człowiek zawsze zmieniał się powoli niż siły wytwórcze. Przekształcanie się społeczeństw niewolniczych w feudalne i feudalnych w burżuazyjne trwało setki i dziesiątki lat. Tradycje, wyobrażenia, normy etyczne, obyczaje starożytności — bardzo powoli ustępowały pod naporem nowych czasów.

Dzisiejsza ludzkość nie może sobie pozwolić na tę wygodę fatalnego, wieloletniego przekształcania obyczajów i moralności. Mogłoby to bowiem spowodować zagładę świata.

W obliczu nowej epoki, która otwiera przed człowiekiem z jednej strony perspektywę niepojętej wprost potęgi, a z drugiej strony perspektywę równie niepojętej katastrofy — musi się dokonać natychmiastowy radykalny przełom. I przełom ten dokonuje się w naszych oczach, w nas samych, wszędzie, gdzie żyją ludzie.

Jedność ludzkości jest koniecznością rozwoju, i wbrew rozpaczliwym poczynaniom sił anachronicznych — zostanie osiągnięta.

VI

Wielebny Eston Mons, pastor ze stanu Illinois, był jednym z pierwszych ludzi na świecie, którzy w obliczu nowych wydarzeń wątplili o słuszności reguł obyczajowych, tradycyjnych wyobrażeń i norm etycznych, jakimi kierowali się poprzednio.

Wielebny Eston Mons, kapłan i kaznodzieja, uznał, że Bóg nie istnieje i że przestał być potrzebny. Enrique Bernal, pilot atomowy i liberyn, uznał że Bóg istnieje, że jest koniecznością i jedynym ocaleniem. Nie jest wcale ważny ostateczny wynik bardzo osobistych i bardzo indywidualnych rozmyślań tych dwóch ludzi. Ważny i charakterystyczny jest fakt, że oto w obliczu rodzącej się epoki ludzie zaczynają pojmować wagę ostatecznej odpowiedzi na dzień jutrzejszy i przystępują do rewizji swych tradycyjnych schematów myślowych.

Epoka atomowa nie stworzyła jeszcze nowego, własnego nurtu myśli ludzkiej. Ale nurt taki powstanie, ponieważ jest to nieunikniona konsekwencja prawdziwości dziejów. Kolebką nowej myśli stanie się nasz świat, świat ludzi wyzwolonych z uścisku i wyzysku, ludzi którzy na obecnym etapie rozwoju dotarli najbliższe do prawdy o rzeczywistości.

Nowy światopogląd epoki atomowej stanowić będzie twórcze rozwinięcie i wzbogacenie marksizmu-leninizmu, filozofii najbardziej nowoczesnej, jaką człowiek do tej pory stworzył i wprowadził w czyn.

Właśnie dlatego my — ludzie budujący na codzień ustrój socjalistyczny — ponosimy szczególną odpowiedzialność za przyszłość i spokojny rozwój planety, która po raz pierwszy w dziejach ludzkich stanie się niebawem wielką ojczyzną człowieka.

VII

W dziesiątą rocznicę tragicznej śmierci Hiroszimy, spoglądając na szlak jaki przebyliśmy od sekundy „Wielkiego Błysku” do chwili obecnej — możemy śmiało powiedzieć, że dokonaliśmy bardzo wiele. Przed nami jest jeszcze długa droga, dłuższa niżeli ta którą przebyła ludzkość od swych narodzin aż po przełom wieku dwudziestego. Lecz musimy przejść tę drogę. W przeciwnym razie może nas zaskoczyć wielka katastrofa.

Często wydaje się nam, że problemy atomowe są sprawą uczonych, że obszar świata atomowego ogranicza się do czterech ścian laboratorium. Wielka śmierć Hiroszimy i wielkie życie elektrowni atomowej w ZSRR — zadają kłam tym fałszywym wyobrażeniom. Problemy atomowe winny być i na pewno będą chlebem powszednim naszego pokolenia. Nowa epoka nie ominie ludzkich serc i umysłów.

Wielkość człowieka polega na jego żądzy poznania. Lata w których żyjemy są czasem poznania ustokrotnionego. Uczymy się w tempie o jakim pojęcia nie miały dawne pokolenia. I to właśnie jest gwarancja naszego zwycięstwa i naszej przyszłej nieograniczonej potęgi.

VIII

Olbrzymi ptak życia o stalowych szponach i stalowym dziobie zatacza kręgi nad wodami na krańcach lodowej północy. Przybłł jak zawsze po stu tysiącach lat, aby w ostrzy swe pazury o szczyt wielkiej skały. Jego niezłomność czy wypatrzą wierzchołka.

Lecz wierzchołek zanurzył się już w falach oceanu. Miał jeden dzień w historii świata. Rodzi się dzień nowy.

Andrzej Szczupiorski

ROMAN BRATNY

AMULET

Wiosną byłem z ekipą radiową w puszczy Augustowskiej skąd przywieźliśmy nagrane na taśmę pieśni ptaków.

Dziewczyno zielonooka weź!
To naszyjnik szczerzy, nie ze złota,
z ptasich łez.

— Ten kawałek radiowej taśmy?
Ja wykonał obłąkany jubiler
lęcąc na skrzydłach miłosnej pasji,
którą zgubiłem.

Zielonooka, uwierz!
Daję Ci naszyjnik najpiękniejszy:
nie z przysiąg, nie ze słówek,
nie z wierszy.

Miałem w reportażu podsłuchać
lasy o wiosnie.
Samochód, krótkofalówka,
głośnik.

Czarny obłąkany ptak
krzyczał o miłości.
Krzyczał tak
jak Dante — do szpiku kości.

Krótkofalówka gra.
Częste szpiegostwa narzędzie zbrodnicze
oszalały ptak
przerabia w klatkę słowiczą.

Kłęczałem wtedy przy niej
długi czas.
Myślałem: muszę Ci przywieźć
taki skarb.

A potem kiedy w Warszawie
prycinano taśmę miłosną
bałem się, że strzępki sprzątańce
zaśpiewają pod szczotką.

Zielonooka — wyciągnę rękę,
pov ieszę na szyi smukłej
naszyjnik ptasiej boskiej udręki
tak ludzkiej.

Plaża. Stóp twoich małe, drobne
ślady na piasku.

O tej porze
zawily syreny alarmu.

Prezydent Stanów Zjednoczonych
zarządził próbny alarm.
„Atak atomowy!”
A-a-a!

„Próbna ewakuacja
o mil piętnaście.”

Do diabła,
zasyp gazetę piaskiem.

Nie pomyśleli, próbując,
że już nie człowiek — ślad na piasku
wybuchnie, jak granat, jeden za drugim
aż po horyzont.

Nie ma nic.
Oto co się nazywa
„zginąć bez śladu”.

Plaża. Wysokie mewy.
Twój śmiech gdzieś w przestrzeni.
Nie wierz,
że to wszystko w pocisk się zamieni.

Ze zostaniem rozstrzelani
przez ptaki.
Ze wybuchającymi łzami
będziemy płakać.

Ze co materialne zginie,
porzucając w wybuchu kształt.
Ze jaskółczy lot
będzie podobny żelaznej szynie.

Ze glob, jak grób nieznanego żołnierza,
zatonie w oceanie fal,
w których radioaktywnych ryb
puls uderza.

Wysokich ptaków świr,
nieba milczenie.
Bliżej przyjdź.
Nie odchódz daleko ode mnie.

PRÓBA KOŃCA ŚWIATA

Widoczny z piaszczystego brzoza
listonosz zmierza ulicą.
Dzieci naprzeciw biegną,
śmieją się, krzyczą.

Byłby rozerwany przez torbę
pełną dobrych wiadomości.
W papierze, w liście, w kropce
(nawet po słowie „kocham”)
tkwi energia złowroga.

Nawet brzozy,
niewinne białostopy,
to maczugi grozy
tdy nastąpi atomowy potop.

A czemu wierzę w świat, w całość, w przyszłość?
Twoje usta się uśmiechają,
ptaki i liście, chmury i słońce się splatają,
liście oświadczenia się listkom.

Z dala na horyzoncie
mały stateczek fuka spokojnie;
wiezie delegatów na kongres
przeciwko wojnie.

Hej! — zawołam raz i drugi
do twoich śladów.
I już biegniesz z powrotem
— i śladów dwa razy więcej...
A jak spokojnie się zachowują,
można kłaść na nie ręce.

Na drugiej świata półkuli
alarm trwa.

Można cię przytulić
i śmiać się. Śmiać!

A gdy po latach
dzieci się będą uczyć geografii
na wielkim globusie nikt nie odnajdzie
plaży, małej jak ziarenko nasku,
na której wierzyliśmy w świat.

Profesor spokojnie objaśni,
gdzie płyną oceany
wokół szczęśliwych wysp
i Hiroszimę wskaże wśród licznych żywych miast...

Bo koniec świata się nie odbędzie.

WRÓŻBA

Zajadę po ciebie liściastym kasztanem
gdy zbyt droga buda dorozki.

W tej ulewie przyszłość odczytamy
z deszczowej kropki.

Mieszkanie sobie ze mną urządzi
w takiej kropki — będziesz spokojna —
gna ku ziemi z wiosenną burzą
szybsza niż wojna.

Tam będziemy przez mgnienie sami
i bez nudy miłość nam zleci
nim wiernymi dotkniemy sercami
ziemi.

Migniemy
mimo lecących pod tęczą gołębi,
migniemy
zakochani i wierni.

Kochankowie zamknijcie w kropki
— jak badacze na dno oceanu —
na świat ogromny
spadamy.

Już ulewa przechodzi.
Przy bramie koszar
szyldwach z budki wychodzi
młody zielony chłopak.

Oto kończą się wróżby
z burz wiosennych w powietrzu:
jak balonik przekuły
kropka spływa z bagnetu.

Czekaj co najmniej godzinę, która mu się wydawała krótką chwilą. Podobał mu się ten zapach pozostały w stajni po koniach; bryczka z miękką, czarną, długą poduszką; wszystkie te stare wiejskie sprzęty, łopaty, motyki, które zawsze na niego działały podniecająco. Kiedy Signora była młoda i szczupła i gdy nazywano ją Amerykanką, sama powoziła skarogniadymi kółkami i paradowała przez Nofi, rozsiewając fascynujący urok i zyskując sobie sławę grzeszniczy. Cummeo chętnie zostałby furmanem, by pielegnować konie i powozić nimi i zgodziłby się spać w stajni, nie przysparzając najmniejszego kłopotu tym z góry. To było lepsze niż siedzieć pomiędzy stolikami baru Oriente. Pomyślał, żeby powiedzieć o tym siostrze, ale zrozumiał, że chwila nie była odpowiednia i że raczej przyjechałaby go signora aniżeli siostra, która by się go wstydziła, co w pewien sposób wpływałoby na to, że wstydziliby się siebie samej.

Najprzód na pierwszym piętrze otworzyły się drzwi i trzasnęły tak, jak na porządne, solidne, wielkopolskie drzwi przystało, następnie usłyszał, że siostra schodzi po czystych, kolorowych schodach. Raz, jako chłopczyk, przyszedł z matką do tego domu, który mu utkwiał w pamięci jako świat z bajki, pachnący dobrą kuchnią. Giovanna powiedziała:

— Zjedź tutaj, na pace. Cummeo miał ochotę poprosić o świecę, ale nie chciał być natrętnym.

— Powiedziałaś jej o tym — odezwała się siostra.

— I co odpowiedziała? — Nic. Chciała nawet, żebym ci przyniosła cały obiad.

Cummeo jadł. Nie widział dobrze, ale rozumiał, że prawie po raz pierwszy w życiu je. Ugrzył kawałek chleba białego i delikatnego. Zaprzagnął powąchać go. Wkladał do ust makaron i pulpety.

— Dziś wieczór jest zabawa — powiedziała Giovanna.

Cummeo poczuł się ożywiać. Jadł mięso faszerowane jajami, brał je na widelec, jeden raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Potem salate, trochę smażonych kartofli, łyk świeżego wina. Jadł i myślał: „No proszę, co je Giovanna. Dlatego jest taka piękna, tłusta i młoda”. „Rumieniec zalega od tego, co się do gęby włoży” — mawiał ojciec.

— Na drugi raz dam ci poprobować kurczaka — podjęła Giovanna. — Dziś wieczór mało było w domu, bo cały dzień byliśmy na plaży.

Z pełnymi ustami Cummeo spoglądał na siostrę i przytakiwał jej, czując dla niej wielką serdeczność, bez cienia zawści. Był gotowy zrobić wszystko. Chciał spytać jej, czy signora nie potrzebuje tragarza, ogrodnika, człowieka na posyłki, takiej osoby, która by robiła wszystkie te rzeczy na raz, ale bał się wyrzucić na niej niekorzystne dla siebie wrażenie.

— Oczywiście, że masz rację, przynoszę ci wstyd, ale gdybyś zechciała, to myślę, że mógłbym zostać...

— Pośpiesz się — powiedziała siostra.

— Wiesz po co? Pomagałbym im (o tym nie pomyślała). Mogłabym jej powiedzieć: „Jeżeli pani nie może memu bratu, ja także sobie pójdę”.

— No tak, i ja także będę ciężar-em w domu — zaśmiała się ponuro. — Co byś tu robił? — Spytała go, dlaczego nie poszedł do domu; dlaczego nie słucha ojca — tak jakby ona go kiedy słuchała — i na zakończenie powiedziała: — Za to was nie lubię. Ciągłe się bijecie, ciągle urządzacie jakieś awantury, jak żebracy. — „Jakaż ona jest obca!” — pomyślał Cummeo, ale następnie i on także poczuł obrzydzenie do swego ojca i z tym większym entuzjazmem poczuł fantazjować na temat tego, by zostać w stajni pani Sberi. — Czyż rzeczywistość nie znalazłoby się nic, co mógłbym robić? — spytał. — Ja bym się zadowolił każdą rzeczą. Nie poszedłbym nigdy na górę. Jestem już zbyt zagłodzony i połowa tego jedzenia postawiłaby mnie na nogi.

— Ja wiem — powiedziała Giovanna, zła, że mu udzieliła tego wieczoru gościnę. Dlaczegoż nie przyszło jej do głowy, żeby mudość dwięście lirów, wszystko skończyłoby się na tym. — Ja wiem, co ty myślisz, że nie chciałabym tego zrobić? Ale tu chodzi o nią. Nie jest taka słodka, na jaką wygląda.

Na drugi dzień rano Giovanna nie powiedziała nic na to, że zobaczyła go w ogrodzie, a nawet w południe zanim pojechała do kąpieli zeszła wraz z signorą we własnej osobie, aby go pozdrowić. Tak jak poprzedniego wieczoru Cummeo nie wiedział gdzie spędzić noc. Udał, że odchodzi i wyszedł furtką, ale wrócił z powrotem, przesadził mur i znowu zamknął się w stajni. Wziął poduszkę z bryczki, wyciągnął się na niej i mocno oszołomiony niewielką ilością wypitego wina, syty i beztroski natychmiast zasnął, tracąc wspaniałą okazję zobaczenia gości przybyłych na zabawę, która się odbyła w domu signory. Zbudził się w chłodnym ogrodzie. Cała willa była jeszcze zamknięta i milcząca, wokół wszystko sprzyjało wypoczynkowi. Zadłono żalu za domem, za matką i braćmi. Tak jakby zawsze żył w ten sposób, nie pamiętał niedawnej przeszłości, nawet tego co było wczoraj, Turolie etc. etc. i był

gotów zapomnieć o tym wszystkim na zawsze.

Pomyślał, by rzucić się do nóg pani, prosząc ją o łaskę, by mu dała coś do roboty. Znowu przyrzekał sobie, że nigdy nie poszedłby na górę do pokoi, że spałby w stajni i robiłby dokładnie to, co by mu rozkazano. Wśród tych myśli minął mu rano, a później przyszła do niego Giovanna i signora.

— Ależ to jest chłopiec — zauważyła pani Sberi.

Cummeo nie powiedział ani słowa i siostra musiała szepnąć mu, żeby podziękował, ale on nie umiał tego zrobić.

Chciał biec do domu i powiedzieć mamie, że teraz kocha ich tak jak jeszcze nigdy dotychczas nie kochał. Ale signora dała mu pierw-

I wróciwszy do kuchni, mruczała do siebie: „Wszyscy oni, jak soldaci. Nie mają wstydu wobec mnie starej”.

Cummeo nie mógł uwierzyć, że to chodzi o to, o co chodziło. Giovanna zawsze opowiadała, że signo-

musisz sobie umyć szyję, musisz sobie wszystko umyć, możesz to zrobić w ogrodzie. Potem wieczorem zjesz coś z Serafiną. Podobają ci się tu? — i zwracając się nagłe do służącej: — Trochę prędzej, Serafino, i mniej tego mielenia języ-



Rys. Danuta Konwicka

sze polecenie: pójść do Nofi i zawołać szklarza, potem mógł wejść na górę jeść. O reszcie miała już pomyśleć służąca. Pobiegł pędem do Nofi, załatwił wszystko co trzeba i galopem wrócił bez szklarza wprawdzie, ale z szybą, miał bowiem wielkie zdolności do wszelkich reperacji. Służąca powiedziała mu:

— Czy ty jesteś szklarzem czy bratem Giovanny? Ja mam polecenie, żeby dać jeść tylko bratu Giovanny. Cummeo znakomicie założył szkło, a później usiadł w kuchni, której wielkie okno wychodziło na ogród. Serafina zajęta była swoimi sprawami i mówiła:

— Nie myśl, żeś dostąpił takiego szczęścia, że tu jesteś. Stara ma długi język, pyskuje. Spytaj się siostry. Ale też to prawda, że twoja siostra pozwala z siebie robić głupia. Gdyby miała to, co stara powinna by jej dać... A tymczasem zadawała się jakąś sukienczyną i papierosami...

Cummeo nie wiedział, że siostra paliła.

— Jak się nazywasz — spytała. — Ale masz brzydkie imię. Zobaczysz, że stara każe ci je zmienić. Ona wszystkich nazywa irys, goździk, stokroteczka, jeżeli jej się napędza pieniądze. Wiesz, jak mi mówi: „Serafino, ja się nazywam Kobieta Pieniądz”.

Zastukano do drzwi i Cummeo wstał, żeby pójść otworzyć.

— Nie ruszaj się! — krzyknęła Serafina — to do ciebie nie należy. — Potem posłyszał, jak mówiła: — Teraz to niemożliwe.

— Ależ ja jestem przyjacielem pani.

— Mam nakazane, żebym nikogo nie wpuszczała, jak jej nie ma. — Ale dlaczego — nastawał młody człowiek — jeśli powiedziałem, że jestem przyjacielem pani.

— Wszystkie pokoje są zajęte... Nie ma nawet gdzie pała wetknąć.

ra uważa ją prawie za swą córkę, że dba o nią z troskliwością prawdziwej matki, że da jej posag, a może nawet i samą wilę po swej śmierci. Chciał zapytać starej, kto to był ten człowiek, który stukał, ale nie było potrzeby tego robić, albowiem stara gaduła zaczęła mówić:

— Dobrze zrobiłeś, mój synu. Jeżeli będziesz udawał głupiego w tym domu, jeżeli nie będziesz widział ani słyszał, to znalazł się kopalnię złota... Potrzebny tu usługowy chłopiec. Wyobraź sobie, że ja tu wszystko robię sama. Pani obdarza mnie pocałunkami i rozmówkami, ale nikt palcem nie kiwnie, żeby coś pomóc.

Zeszedł do ogrodu. Udał się do stajni, wziął sierp i zaczął poprawiać klomby, przywracając im rytmunek w formie serca. Serafina, wycierając naczynie, spoglądała na niego od czasu do czasu; a potem pozostał sam. Pracował dopóki nie wróciły siostra i signora, bardzo opalone — signora z piersiami i plecami do połowy odkrytymi. Obydwie zapomniały o Cummeo.

— Kto to jest ten młody chłopak? — spytała Giovanna signora. — No popatrz, gdzie ja mam głowę, przecież to twój brat... Kazałeś wprawdzie szybę?... Bravo, znasz się także i na ogrodnictwie. Narazicie będę mogła schodzić do ogrodu, by przeczytać gazetę.

Niedługo potem Giovanna zawołała go z tarasu, aby posłać po truskawkowe lody. Wróciwszy Cummeo znowu poszedł na górę i chociaż pozostał w kuchni, zorientował się, że byli jacyś goście, mężczyźni i dwie panienki. Gawędzono i śmiano się. Serafina wychodziła i wracała do kuchni ze swą twarzą odwiecznie pełną obrzydzenia. Na chwilę przysła także i signora, która, jakby po raz trzeci odkrywając Cummea, powiedziała:

— Już wróciłeś? Ależ jesteś błyskawiczny. — Popłukała kilka filiżanek pod kranem i dodała: — Ty

kiem... — i znowu do Cummea: — Położyłabym cię spać w domu, ale nie ma miejsca.

Cummeo wszędzie tu widział szezłongi, fotele i każdy z pokoi robił wrażenie osobnego salonu. Jedzenie dostał jeszcze lepsze niż zeszłego wieczoru, wypił więcej wina i z powrotem zeszedł na swoje miejsce w ogrodzie. Na górę miało tańczy. Ktoś wyszedł na taras i Cummeo posłyszał rozmowy i śmiechy. Myślał ciągle o tym, co mu utkwilo w głowie i co każdy by podejrzewał. Wreszcie ciekawość zwyciężyła. Wyszedł ze stajni i ukrył się w głębi ogrodu. Siostra siedziała razem z don Pasquale Altieri — jak go nazwał tracz — w wielkim czerwonym fotelu i pili coś przez słomki z jednego kieliszka. Inna dziewczyna stała w rogu tarasu i obejmowała jakiegoś pana. Gdy nasylił się tym widokiem, zauważył na kuchennym oknie zarzające się ogniki. Serafina czuwała, paląc fajkę. Powoli, ostrożnie wrócił do stajni. Dano mu koc, przecieradło i poduszkę. Myślał o tym, żeby stąd pójść. Ci z baru powiedzieli prawdę. Ale gdy znowu stanęli mu przed oczami ludzie z baru, dom, straszliwa nędza, chora matka w śmierzdzącej izbie, to zrobiło mu się niedobrze i dał spokój, tracąc ochotę do zagłębiania się w to wszystko. Leżał na wznak i z szeroko otwartymi oczami myślał o koniu, na którym mógłby jechać przez wieś szczęśliwy, nie myśląc o niczym.

Następnego ranka signora kazała go zawołać, by mu powiedziała, że darowuje mu ubranie. Pani Sberi była kobieta, kierująca się przełotnymi sympatiami i antypatiami. Ubranie musiano na niego przetrzebić. Podarowała mu również koszulę, mówiąc:

— To wszystko rzeczy mego nieboszczyka męża, bierz, bo inaczej wszystko się zmarnuje.

Giovanna zachowywała się tak, jakby to nie dotyczyło brata i posłyszał jak signora mówiła:

— Z tobą można by wszystko stracić. Och, nie powinnaś była tak postąpić wobec don Pasquale, który tyle zrobił dla ciebie. — Giovanna odpowiedziała jej bardzo gwałtownie i zamknęły się w pokoju pani Sberi. Krzyczały, ryczały, może nawet robiły coś gorszego. Jakaś dziewczyna, której Cummeo nie znał, przyszła do kuchni posiedzieć i wypalić papierosa. Podczas gdy w dalszym ciągu było słychać krzyki pani Sberi i Giovanny, powiedziała cicho do Serafiny:

— Ja tam nie chcę brać niczyjej strony, ale wydaje mi się, że tym razem signora ma rację. Tak się nie robi.

Giovanna ma za wielkie o sobie wyobrażenie — odparła Serafina — chciałabym wiedzieć, co by było gdyby tak zerwała z signorą. Wy jesteście za młodzi i nie rozumiecie tego, co znaczy oparcie. Za moich czasów... była wojna, wojna na ulicach, w bramach, a to są salony, to są palace królewskie i wszyscy tu panowie, wielcy panowie... Don Pasquale Altieri... Już samo nazwisko zatyka człowiekowi gębę, może nieprawda? — spytała dziewczyny, która przytaknęła. — Don Pasquale to pieniądze i protekcja — dodała Serafina, nie przezywając gospodarskich czynności, z tą swoją twarzą rozumną i poorną zmarszczkami.

W tym momencie dało się słyszeć szlochanie pani Sberi. Giovanna umilkła. W kuchni zapanowało ciężkie, pełne napięcia milczenie. Słychać było wyraźnie stuk przesuwanych i ustawianych przez Serafinę przedmiotów oraz westchnienia dziewczyny palącej papierosa. Cummeo posmutniał. Po chwili dziewczyna poszła zastukać do zamkniętych drzwi, a zaniepokojona Serafina ruszyła za nią pośpiesznie, z kieliszkiem koniaku. Cummeo posłyszał, jak obie uspokajały signore, mówiąc, że wszystko się ułoży, że to było nieporozumienie. Nie zwracano uwagi na Giovannę, która przyszła do kuchni i usiadła na miejscu dziewczyny, z papierosem zwisającym z mocno ukarmionego warg. Patrzyła na brata, jak na jakiś przedmiot. Cummeo nie wiedział, co robić, co powiedzieć. Czuł się tu niepotrzebny, obcy. Następnie, słysząc znowu krzyki pani Sberi, która wyładowywała się, ubliżając Giovannie, powiedział:

— Co ty tu robisz? Dlaczego nie wracamy do domu?

— Nie denerwuj mnie — odpowiedziała Giovanna — jeszcze tego tu brakowało. Jak chcesz iść, to drogę znasz, nikt cię nie zatrzyma.

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi i żeby ją uspokoić dodał:

— Ależ signora tobą poniewiera. Nie słyszysz co mówi?

— No tak, a w domu to mnie niby pieczęza — odpowiedziała z gryzącą ironią Giovanna — a poza tym drażni mnie to wypytywanie. Tu mi jest dobrze, doskonale i nikt mnie stąd nie ruszy. Komu jest źle, to drzwi otwarte.

Po raz drugi Cummeo nie podjął wyzwania. Zobaczył, iż spełzło na niczym jego usiłowanie, by dotrzeć do serca siostry, by wydrzeć jej wyznanie, chwilę czułości i chwilę

KHALLDOR STEFANSSON

Islandia

Gdy tylko dojrzelismy go na drodze, przetrwalismy nasze gry. Milczenie przeszło nagle w wybuch śmiechu i krzyki. Tańczyliśmy wokół niego jak dzicy wokół ognia.

— Włóczęga.

— Obieżyświat.

— Złap nas, złap nas! — wołały najmłodsze, widząc w nim postać z bajek.

— Dokąd idziesz? — zapytał Oli ze złośliwym grymasem.

Człowiek nie odpowiadał, tylko posuwał się dalej naprzód, otoczony zbitą gęstwiną dokuczających mu chłopców.

— On jest ze Szkocji — krzyczał Steini.

Nie wiadomo właściwie dlaczego wydawało się nam to niesłychanie śmieszne.

— Ze Szkocji — powtarzał Ionni i podnosił poję płaszczu nieznanego.

Człowiek milczał.

— Jesteś głuchy? — zapytał niewinnym głosem Oli.

— Nie — odpowiedział krótko.

Ionni szedł za przybyłym wolno jak człowiek, który toczy przed sobą wielki kamień potrzebny do naprawy muru i zastanawia się, jak najlepiej będzie go uchwycić.

— On nie ma głowy — zauważył nagle.

Na chwilę zapadła cisza, a później wybuchł wrzask zachwytu spowodowany żartem Ionniego.

zmieszania, co zmieniłoby zasadniczo ich wzajemny stosunek. A siostra znowu swoje: — Czy wiesz, że teraz nawarzyłam sobie piwa... ale ja wiedziałam, dobrze wiedziałam.

Wbiegła dziewczyna, która powiedziała do Giovanny:

— No chodźże się pogodzić, bo jak nie, to cię wygoni. Dalej, wiesz, że ona tak robi... Ja wiem, że masz rację, ale co robić, chcesz sobie pójść... to się tak mówi... gdziebyś poszła? Giovanna pozwoliła się zaciągnąć dziewczynie; gdy się pogodzono, pomarszczona stęczytelka Serafina wybuchnęła radością i miało się wrażenie, że znowu zaczyna funkcjonować cały domowy mechanizm. Dziewczęta triumfalnie wprowadziły do kuchni signorę, która, zwyciężywszy w rzeczywistości, zdawała się nie pamiętać o całej sprawie, tak jakby to co zostało było tylko koniecznym rozładowaniem oczyszczającym od wszelkich grzółów mającą potem nastąpić radość. Spokojna, poprawiając sobie włosy przed lustrem w ramie, stojącym na marmurowym stole, powiedziała:

— Co będziemy jedli na południe, nasza staruszeko... Ona jedna mnie kocha. Ile ci kazali zapłacić za kurczaka? Nic, nie, dzisiaj zrobić święto. Lubicie kurczaka? Ty chciałaś ser szwajcarski — spytała Giovannę — przecież mówiłaś mi, że się źle czujesz. No dalej, nie daj się, czy chcesz, żebym ci jeszcze przyznała rację? No więc — zwracając się do Cummea, który siedział na swoim miejscu z głupkowatym uśmiechem na pobladłych wargach — zrób jedną rzecz, kup dwie paczki Laurentsów, cztery butelki piwa i ser szwajcarski dla twojej siostry. Powiedz, żeby ci dała tego z bawolem z Baltipaglia, ale biegnij, e! a to co zostanie to dla ciebie — i z westchnieniem zakonkludowała: — Zrobisz dobrze — zapomnij, zrobisz źle — żałuj.

Mnie to zupełnie nic nie obchodzi, czy pani daje pieniądze memu bratu — powiedział Giovanna, jeszcze podniecona scysją.

A pani Sberi z największą cierpliwością poczęła śpiewać:

— Zrobisz dobrze — zapomnij, zrobisz źle — żałuj.

Cummeo poszedł kupić papierosa, w nowym ubraniu, w nowych butach i skarpetkach, w nowych kałesonach, z chusteczką i z podarowanymi 500 lirami w kieszeni. Natychmiastowe dobrodziejstwa uwolniły go od skrupułów. Świat wydawał mu się prosty i możliwy do przyjęcia. Czuł się odważniejszym. Teraz już nie był tym zwracającym uwagę nędzarzem, takim jak do owego wieczora. Nie mógł powstrzymać się, aby nie wejść do baru Oriente i nie kazać sobie podać osłupiałemu Turolii porcji spumoni.

— Proszę do stolika na dworze — powiedział. Zjadł lody, nie czując złości do nikogo. Życie było piękne. Mieć dom, dobre jedzenie, wydawało mu się, że tego chce, że zawsze tego pragnął. Siostra mogła mu poważnie pomóc. Teraz już była w ramionach don Pasquale Altieriego. A on potrafiłby się oderwać od tego domu, ale po to, by stanąć

Szli wszyscy za człowiekiem bea głowy, hałasując. On tak uniósł potężne rozłożyste bary, że spoza stojącego kołnierza marynarki głowy nie było widać. Szyję miał pochyloną i może dlatego miało się wrażenie, że głowa wyrasta wprost z piersi. Ręce zaciśnięte w pięści i wetknięte do kieszeni spodni sterowały na brzuchu jak dwie wielkie grudy. Ubranie miało ten specyficzny zielonkawy kolor, jakiego nabiera czarny materiał przez długi czas wystawiony na działania słońca i deszczów.

Milczał uparcie i może skutkiem tego przestąpił go wkrótce obrzucać wyzwickami. Ślismy za nim, poprzestając na pokazywaniu go przechodniom.

— Zostawcie go w spokoju — krzyknął ktoś z daleka. — To Man-ni.

To imię pobudziło naszą już przegastą fantazję.

— Słyszysz? Nie nazywają cię manną z nieba, tylko panem Man-ni!

Nie odpowiedział i wkrótce zniknął w progu jednego z domów, a my zajęliśmy się czym innym.

Manni pozostał w naszej małej wiosce i powoli poznał historyję jego życia. Nie było w niej nic niezwykłego i prawdę mówiąc nie dowiedzieliśmy się zbyt wiele. Nawet tego skąd przybywał. Był to człowiek nieszczyśliwy, pechowiec, włóczęga. To wszystko co usłyszeliśmy. Mówiono, że nie zgubiły go kobiety, lecz wódka. Był obiecującym poetą, ale rozpił się, jak wielu poetów islandzkiej

REA

MELO

na pewnym gruncie i stworzyć sobie własne godnie szacunku życie, z jakąś dzielną dziewczyną. Należało więc wrócić do willi. Uważał ją za przymusowe miejsce pobytu, w którym będzie użyteczny. Na drugi dzień zgodził się pójść na plażę razem z siostrą, z signorą, jeszcze jedną panią i z dwoma młodzieńcami z tamtego dnia. Signora chciała, żeby usiadł z tyłu razem z nią i powiedziała wszystkim, kim on jest, jakie ma zalety, ile rzeczy umie robić.

— Ach tak — mówił młody człowiek, który prowadził wóz i siedział koło Giovanny. Cummeo był zmuszony udawać, że te komplementy sprawiają mu przyjemność, że nie widzi, iż Giovanna pieści się młodzieńcem i że towarzyszy tamtego odwracając się, chwytając drugą dziewczynę gdzie się dało. On musiał wyglądać oknem i być wdzięczny, że został przyjęty do towarzystwa. Samochód był marki Alfa Romeo... ale on nie miał ani chwili spokoju.

Nad morzem pani Sberi wynajęła kabinę na najlepszej plaży uczęszczanej przez bogatych ludzi. Był to murowany pokój, z szerokimi okiennicami, umywalką, stołem, pokryty dachem z trzciny. Wszystkie trzy kobiety posiadały słoneczne okulary. Cummeo nie umiał pływać i został na plaży, by dotrzymać signorze towarzystwa pod wielkim parasolem. Signora posyłała go to po papierosa, to po gazetę, to po mrożoną kawę, to znowu po piwo. Ta kobieta miała ochotę na wszystko i ciągle coś mrożonego. Co do tego zresztą Cummeo całkowicie się z nią zgadzał.

Giovanna z drugą dziewczyną i z młodymi ludźmi wrócili i położyli się na słońcu koło parasola. Pani Sberi wyglądała jak ich matka, a Cummeo, chudy i nieszczyśny, jak rachityczny syn, którego trzeba leczyć okładami z gorącego piasku.

Nadeszła pora obiadowa i poszli zjeść coś do restauracji. Cummeo był pochłonięty wyjmowaniem ości z ryby, tak jak to robili inni i Giovanna; ale zostawiwszy większą część ślimaczków, ponieważ nie mógł ich nadziąć na widelec bez pomocy łyżki, zmuszony był również zostawić kawalki pachnących ryb. Opijał się piwem, ale ciągle miał takie uczucie, jakby kradł. Przyjemnie by mu było znajdować się tu gdzie się znajdował, ale żeby nie było Giovanny, albo tylko z Giovanną i z signorą bez tych młodych.

Tutaj spostrzegł dwóch swoich kolegów, w płóciennych polatanych kostiumach, chudych, kościstych. Byli to poważni chłopcy, godni zaufania, z którymi nieraz rozmawiał o swoim i ich położeniu. Cummeo poczuł się pokrzepiony na duchu i pozdrowił ich, ale przyjaciele nie odpowiedzieli, udając, że go nie widzą. Chybkim, chyłkiem wynieśli się i lepiej nie umieli wyrazić swej pogardy. Ci dwaj koledzy nigdy, nigdy nie zrobili żadnej aluzji co do prowadzenia się jego siostry. Nigdy żadna kobieta z podwórza, przychodząca na pogawędkę z matką, nie powiedziała na ten te-

mat ani słowa. Ojciec także musiał być nieświadomy. Co do tego nie miał wątpliwości. Wydawało mu się, iż przypomina sobie coś, jakiś niewidoczny znak, jakąś atmosferę milczenia, która się wytwarzała tam gdzie on się pojawił, i im bardziej sięgał pamięcią w przeszłość, tym wyraźniej widział te oznaki, które nagle nabrały konkretnych kształtów; i poczuł, że traci apetyt i że narasta w jego duszy coś co nie było ani gniewem, ani zazdrością, ani chęcią zemsty, ale co można było określić, jako niezmierną gorycz, jako rozpacz spowodowaną tym jego życiem bez wyjścia, pozbawionym owych możliwości psychicznych, pozwalających na przyjęcie pomocy jakiejś osoby, którą w jego wypadku mogła być siostra. Zobaczył, jak wałęsa się w gruzach jego wczorajsze plany, robione wówczas gdy poszedł kupować papierosa i odczuł do głębi ciężar goryczy każdej łyżeczki lodów, jedynych lodów, które zjadł poprzedniego dnia przy stoliku w barze Orientie. Właśnie wtedy, w tej samej chwili, gdy snuł plany na przyszłość, poczuł się bardziej samotny niż kiedykolwiek, bardziej zapomniany i opuszczony. Pani Sberi powiedziała:

— Zjedz banana. Banan tyle jest wart co jajko. — Giovanna wstała i oddaliła się, a on spojrzawszy nieomal ze zdziwieniem na twarz pani Sberi, tak prostoduszną, zażywną, jasną, twarz porządnej, nieskazitelnej osoby, skorzystał z okazji, by również wstać. Pochodził pomiędzy kabinami, minął plażę, zbliżył się do bariery oddzielającej miejsce przeznaczone dla „Kapieli ludowych”.

Wrócił do kabiny pani Sberi. Chciał się uczesać, ubrać i odejść samotnie. Kabina była zamknięta. Zastukał i odpowiedziała ona, Giovanna:

— Kto tam?
— Cummeo.
— Nie mogę teraz otworzyć.
Poczekaj i zastukał powtórnie.
— Kto tam? — spytała znowu siostra zdyszczonym głosem.
— Cummeo.
— Czegoś chcesz?
— Chcę wejść. Potrzebny mi jest grzebień.

— Weź sobie od signory.
— Ja chcę mój grzebień.
— Teraz nie mogę otworzyć. Dostać tego, wynoś się!
Nadeszła signora i powiedziała:
— Co tu robisz?
— Czekam, żeby otworzyła, tam w środku jest Giovanna.

— Nik może teraz — powiedziała signora.
— A skąd panj wie?
— Ubiera się, dlatego wiem.
— Ale siedzi zamknięta już pół godziny.

— Twoja siostra jest powolna.

Znowu zaczął walić i krzyczeć:

— Otwieraj, bo jak nie, to wywalę drzwi. Jeżeli naprawdę się ubierasz, okryj się płaszczem kapie-

lowym, ale mnie wpuść.

Signora natychmiast pomyślała o ludziach i powiedziała:

— No, no, nie rób tak. Spędziliśmy taki piękny dzień, a ty chcesz

wszystko popsuć. Wiesz przecież, że cię bardzo lubię... Ale, ale, gdzie to są papierosa? Nie ma pan papierosa? — spytała młodego człowieka, który udał, że nie ma. — Może zechcesz pójść kupić? — powiedziała do Cummea, tak jakby kabina nie była zamknięta jak grób.

— Najprzód muszę otworzyć — nastawał Cummeo.

— Ależ ty jesteś typ! — warknęła signora.

Ale Cummeo nie słuchał jej. Kopniakiem wywalił drzwi kabiny i zastał tam siostrę i drugiego młodzieńca. Giovanna skoczyła ku wyjściu, ale zatrzymała ją.

Pierwszy młodzieńiec schował się, ponieważ zaczęli zbierać się ludzie. Cummeo zaczął bić po twarzy Giovannę. Wypchnął ją na plażę i bił. Signora mówiła:

— Boże, co za wstyd! — Ale młody człowiek nie pobił bronić Giovannę, bo chociaż pochodził z dobrej rodziny, ale przecież był młodzieńcem z Nofi. Giovanna z zakrwawioną twarzą mówiła tylko:

— Dostyć, dostyć. — Został już na ziemi, na piasku.

Poszedł na piechotę z Marina do Vietri miasta. Tutaj spotkał kolegów, którzy czekali na tramwaj, by pojechać do Cava. Podeszli do niego, nie mówiąc jednak ani słowa o tym, co widzieli i co aprobowali. A nawet rozmawiali ze sobą wesoło; i ponieważ tramwaj nie przychodził, zaczęli się bawić i popychać się i popychali także delikatnie i Cummea. Był to taki sam sposób jak każdy inny, aby znowu okazać mu zaufanie... Cummeo usiłował uśmiechać się i odwzajemnić te kusańce, ale nie udawało mu się uciec od swych wewnętrznych niepokojów.

Był jeszcze zbyt podniecony, zdenerwowany i niespokojny. Wreszcie nadszedł ten nieszczęśny tramwaj, toczący się po sfatygowanych szynach, biegnących od Salerno do Pagani od trzydziestu lat i z trudem zaczął się wspinać ku Cava. Koledzy siedli wewnątrz tramwaju, ale on wolął stać na przedniej platformie drugiego wozu, jak we własnej, prawdziwej łodzi. Aby dotrzymać mu towarzystwa, został z nim jeden z przyjaciół, który również nic nie powiedział na temat zajścia. Poczęstował go papierosem; opowiadał mu o swej pracy, powiedział mu, że późnym wieczorem odbędzie się zabawa taneczna — i spytał, czy on także nie miałby ochoty pójść. Cummeo dał mu do zrozumienia, że nie czuje się dobrze, że woli bezpośrednio wrócić do domu. Tramwaj dojechał do Cava i teraz pedził niehamowany w dół, po pochwości, wiodącej do Camerelle, gdzie zaczynała się właściwe pola Nofi.

Od tej chwili Cummeo poczuł się uratowany. Widząc te znane rodzinne strony miał wrażenie, iż nim stanął na swojej ziemi, powrócił w głąb siebie samego i został tam przyjęty z gotowością i miłością. Ani przez chwilę nie pomyślał o tym, by znowu zająć swe miejsce w barze Orientie, który był dnia niego związany z historią siostry i pani Sberi. Wszyscy miesz-

kańcy Nofi wydali mu się światem dalekim i całkowicie obcym. Czuli się ocaloncy, ponieważ w tym miejscu, prawda, że biednym, ale naprawdę własnym, stworzonym dla niego, by go ukryć i by go wesprzeć, wszystko było mu znane: domy i kamienie, imiona i twarze. Jedynie wśród tych rzeczy i osób mógł odzyskać odwagę. Jeżeli wszedłby ojciec podczas gdy on będzie w domu, to przemówiłby do niego, wytłumaczyłby mu, do czego doszli obaj; że powinni robić wszystko z wyjątkiem tego, by się kłócić i złożyć sobie nawzajem za to, że się urodzili.

Wszedłszy do domu, spostrzegł ludzi, którzy stali w drzwiach, by go pozdrowić i stanawszy na podwórzu zobaczył innych ludzi przybiegłych zobaczyć, jak wygląda chłopiec, który nagle stał się mężczyzną. Wiadomości o wypadkach zaszły w Vietri przysły tu przed nim. W wieczornym powietrzu było coś, jakby symbol święta. Cummeo natychmiast dostrzegł drzwi swego mieszkania. Był na wpół przymknięte. Wszedł i powiedział dobry wieczór. Ojciec i matka leżeli już w łóżku. Ojciec po raz pierwszy odpowiedział na pozdrowienie syna.

Nie mówiąc nic więcej, Cummeo podszedł do swego łóżeczka i zobaczył, że wszystko jest przygotowane, czyste i wyprasowane prześcieradła, poduszka porządnie zbita i wypchana liśćmi. Fala dreszczy przebiegła mu przez plecy. Zdjął buty i postawił je pod łóżkiem. Zdjął spodnie, złożył je porządnie i ułożył na skrzyni, zdjął koszulę, powiesił ją na poręczu krzesła, a następnie wszedł do łóżka, wyciągnąwszy się z przyjemnością, z rękami wzdłuż ciała, z oczami utkwionymi w znajdujące się nad drzwiami zakratowane okienko, za którym drżało powietrze świeże i leciutko błyszczące blaskiem nocy letniej. I zaczął rozmyślać. Myślał o tym, że znajduje się w domu i że jest z tego zadowolony: że leży na swoim starym sienniku wypchanym liśćmi kukurydzy i że mu jest wygodnie, że oddalony jest o dwa metry od swego ojca, przyjaciela i o metr od matki, która płakała cicho, nie wiadomo czy z powodu Giovanny, czy z powodu zgody, która zapanaowała pomiędzy jej dwoma mężczyznami. W zupełnej ciszy, panującej na dworze i w domu, płacz matki był jakby dalszym ciągiem pełnego słodyczy strumienia zadowolonej, który znowu zaczął płynąć. Ale właśnie ta otaczająca ich cisza wzruszyła matkę i dodała jej odwagi, by płakać swobodnie. Ani ojciec, ani Cummeo nie ośmielali się jej przeszkodzić. Później, o wiele później, gdy wszyscy troje do głębi przemysłili ich historię, ojciec powiedział:

— Spijmy teraz, już druga. Jutro muszę wstać o piątej. Wezwal mnie Spanzano. Udało mu się uruchomić motor i jedną piłę elektryczną, by robić skrzynki i dać nam wszystkim zarobić. Powiedział, żebyśmy przyprowadzić także Cummea. Spanzano to porządny człowiek.

Domenico Rea
tłum. Zygmunt Zeydler-Zborowski

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI

NAD JESIENINEM

Pod restauracją stropem zadymionym,

Gdzie na stolikach rysują palcami

Od 'wina lepkie twarze wykrzywione,

Gdzie gwar pijanych w morze się rozlewa

I dym niebieski wyspę kontuaru

Unosi w dal, gdzie kobiet pisk i śmiechy,

Dorożkarz szklanką wódki się rozgrzewa

I chwiejne kroki stawia przed kotarą

Czekista skośnooki i kaleki.

Tu w dal ucieka strop nawisły krzywo,

Gitary dźwięk natrętnie brzęczy w uszach.

Stolików wąż w głęboki mrok odpływa,

Dziewczyna senna czegoś się nachmurza

Sukienkę mokrą wycierając z piwa.

Otwiera oczy zamglone od wina

Na ustach farby rozsmazanej czerwieni.

Samowar syczy, podrygują w polce,

Chrypiąc zaśpiewał pijany marynarz

I płyną pieśni o „Matuszce” Woldze.

Czytając wiersze widzę Cię przed sobą,

Kiedy w „Astorii” siedzisz sam wieczorem

Nachylając się nad papierem czystym

Z spadającymi na oczy włosami,

W koszuli wyszywanej w barwne wzory.

Nad ranem senny śpieszysz się na stację,

Czerwoncem zmietym płacąc za kolację.

Czy Twój był świat w oparach gęstych baru?

Czy tylko tam — Sergiuszu — Cię widzieli?

Niesmaczny wiersz o Tobie pisał Żarow,

Gdyś ciężko swych doświadczył przyjacieli.

Zdawało się, że głos Twój gniewny zamilkł

I na wsi nowej Twoich słów nie słycać,

Lecz wiersze Twoje groźne jak dynamit

Powtarza znów na scenie młody sztygar.

Ja dobrze znam ojczyznę Twą stepową

I strzępy mgły gdy czuby sosen kryje

I rdzawe wierzy nad strumieniem bystrym

I lasy znam ubrane w biel śniegową,

Gdy nad jarami w nocy wilk zawyje

To echo długo drży w powietrzu czystym.

Nad ranem brzask maluje białe brzozy

I czapy śniegu na wysokich stogach,

Wrony szybują w bezkresnych przestworzach,

Zadymka hula na zatartych drogach.

Nie wyjdzie nikt przed wieś, by spotkać Ciebie,

Nie wrócisz już bez troski i wesoly,

Tu gdzie Cię matka częstowała chlebem

Do sosnowego podając go stołu.

I tylko kłon Twój bardziej się pochyli —

Zakrąży śnieg jak biały rój motyli.

Tam ścichły burze, które nie tak dawno

Boleśnie nieraz w Ciebie uderzały.

Tak lata zdarły wszystko co nieprawdą

Było w tych słowach i takim zostałeś

W pamięci naszej ze strofą płomienną

I z sercem swoim czułym i niezmiennym.

Nie mamy prawa sądzić Cię poeto —

Nikt nie znał z nas ni troski Twej ni przeżył

I tylko wiersz Twój głosi zawsze chwałę

I tylko wierszom Twoim można wierzyć.

Khalldor Stefansson

MANNI WŁÓCZĘGA

*

Było mu zupełnie obojętne, co się o nim myśli. Nigdy nie wspominał przeszłości i nie podkreślał, że była inna niż teraźniejszość. Żył w nędzy, nie usiłował nigdy z nikim rozmawiać i zaledwie odpowiadał na pytania. Jego język był chrapawy, niepewny — tak mało się nim posługiwał. Często stał nieruchomo godzinami, ze zwieszoną głową, wpatrzony we własne stopy.

— Myśli o wierszach — mówił mi wówczas. Nie było w tym ironii, lecz szacunek, gdyż w naszym pojęciu Manni zachowywał się tak jak na poetę przystało. Dowiedziawszy się trochę o jego przeszłości i widząc, że nie reaguje na nasze impertynencje, zmieniliśmy radykalnie nasz stosunek do niego.

Manni zamieszkał w opuszczonej szopie nad brzegiem morza. W szopie też od czasu do czasu odbywały się targi rybny. Zbierał wyrzucone przez morze kawałki drzewa, rozpalał ogień i gotował głowy dorszy lub inne odpadki dane mu a raczej rzucone w czasie gdy milcząc asystował przy czyszczeniu ryb. Nikt się nim nie zajmował, nikogo nie obchodziło: żyje czy umarł, ale też nikt nie był mu nieprzychylny.

Często czatowaliśmy przy szopie, by zobaczyć, czym się zajmuje Manni, ale nigdy nam się to nie udało, gdyż zawsze zamykał szczelnie drzwi.

Pewnego razu zgromadziliśmy trochę drzewa i wiórów, i zaniesiliśmy Manniemu. Zdobyliśmy to wszystko niezbyt uczciwym sposobem, ale nie odczuwaliśmy żadnych

wyrzutów sumienia. Byliśmy bardzo ciekawi i pełni nadziei, że zaprosi nas do szopy. Niestety. „Stał w drzwiach patrząc uważnie na palce, które wychodziły mu z dziurawych butów. Na nas nawet nie spojrzał; nie powiedział nic, kiedy ofiarowaliśmy mu swoje dary. Częściej z powodu szacunku jaki w nas swym zachowaniem budził, częściej pod wpływem złości i rozczarowania, nie weszliśmy z naszymi ciężarami do szopy. Ułożyliśmy wszystko pod murem i odeszliśmy.

Mówiliśmy o Mannim przez całe lato. Zbieraliśmy drobne zasłyszane szczegóły z jego życia i wzbogacaliśmy je naszą fantazją. Uwierzaliśmy go teraz za bohatera narodowego i męczennika, nad którym mieliśmy obowiązek roztoczyć opiekę. W specjalnym zeszycie gromadziliśmy fragmenty jego wierszy. Na szczególne żaden krytyk nie oglądał go, inaczej z łatwością poznałby autorów.

Pomysł noszenia Manniemu jedzenia wyszedł od Oliogo. Nasze matki dały nam po kilka bułek, a Bossi wykazując największą z nas wszystkich inicjatywę przyniósł również butelkę mleka. Postanowiliśmy nie wręczać obojętnie darów Manniemu, żeby nie uznał tego za jałmużnę. Zrobiliśmy porządną paczkę. Na niej napisaliśmy wyraźnie: „Dla pana Manni. Szopa”. Paczkę położyliśmy na progu a sami schowaliśmy się w pobliżu.

Przyszło nam czekać bardzo długo i cierpliwość nasza była już zupełnie niemal wyczerpana, gdy Manni wyszedł. Stał w drzwiach,

przyjrzał się długo i uważnie paczkę, wreszcie pochylił się, przeczytał napis, wziął paczkę i wszedł do szopy.

— Powinniśmy byli podać nadawcę — powiedział Jonni, ale nikt nie przyznał mu racji, gdyż uważaliśmy, że byłoby to brakiem taktu.

*

Następnego dnia Manni zademonstrował w sposób bardzo dobitny, że nie potrzebuje jałmużny. Poszedł do sklepu i kupił sobie biszkoptów za całych dwadzieścia orów.

Przez całe lato nie przydarzyło się Manniemu nic niezwykłego. Zdawało się, jakby był otoczony spokojem i ciszą grobu. Nieraz, kiedy patrzyliśmy na to, jak stoi zupełnie nieruchomo, pograżony w jakichś sobie tylko wiadomych myślach, mieliśmy takie wrażenie jakby stanął czas. W jesieni jednak zorientowaliśmy się, że dorośli knują coś przeciw niemu. „Zimą w szopie zamrznie. Lepiej pozbyć się tego włóczęgi w porę”. „Powinna dbać o niego jego własna gmina”. „Nie powinien stać się ciężarem dla nas”.

Zdania takie słyszeliśmy coraz częściej i zrozumieliliśmy, że Manniemu grozi jakieś niebezpieczeństwo. Uważaliśmy, że to my odkryliśmy Manniego i tylko my mamy do niego prawo. Dlatego też staraliśmy się dowiedzieć o co chodzi i postanawialiśmy nie dopuścić, by stało mu się coś złego.

Na nasze pytania dorośli odpowiadali, że należy odesłać go do gminy, w której się urodził. Nie zdążyliśmy jeszcze opracować żadnego planu,

kiedy nagle zobaczyliśmy pewnego dnia, że do szopy wchodzi wójt, milicjant i kilku tegich chłopów. Natychmiast zgromadziliśmy się w pobliżu.

*

Dwóch silnych chłopów wyciągnęło Manniego z szopy i usiłowało dowlec go do brzegu, przy którym stała motorówka. Manni stawiał bierny, milczący opór.

Szliśmy za nim cisi i beznadzi. Musieliśmy patrzeć na to jak nasz protegowany został tak haniebnie ubezwłasnowolniony.

Na brzegu, kedy Manni dostrzegł motorówkę, szarpnął się gwałtownie i uwolniwszy się od przesładowców, usiłował zbiec krzycząc przy tym:

— Nie, nie!

Przybyli chwycili go jednak natychmiast znowu i wciągnęli na łódź. Manni nie powiedział już ani słowa.

Spojrzeliliśmy na siebie. Nie wiadomo kto zaczął pierwszy, lecz wszyscy poczęliśmy śpiewać:

„Allons, enfants de la patrie...”

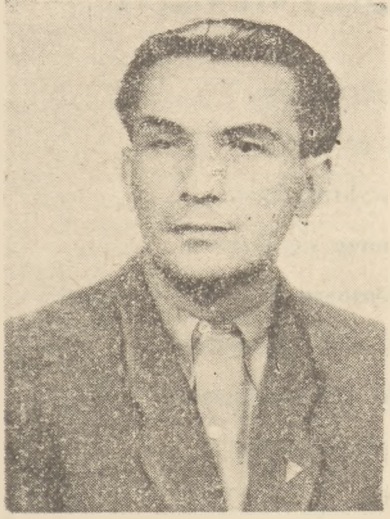
Zgromadzeni na brzegu, mimo zdumienia i głosnych wymówek starszych, śpiewaliśmy jak tylko potrafiliśmy najgłośniejszym Marsyliankę.

Motorówka odbiła od brzegu. Manni stał w swej zwykłej postawie z opuszczoną głową, ale nam zdawało się, że się uśmiecha słysząc groźne brzmienie Marsylianki.

Taki był nasz pierwszy w życiu protest przeciw gwałtowi i przemocy.

JANINA PREGER

Nowa powieść Tadeusza Hołuj



Tadeusz Hołuj: Królestwo bez ziemi, t. I, „Burzliwe żywioły” str. 456, 2 nrb., t. II „Twierdza” str. 293-3 nrb., „Wydawnictwo Literackie”, Kraków 1954.

Szeroka powieść epicka o ambicjach nie mniejszych niż Sienkiewiczowskie, pisana jednak w duchu całkiem odmiennym, wiodącym rodowód od „Kordiana i chłama” — to zjawisko nie było jakie. Przede wszystkim dlatego, że może liczyć na dużą popularność u czytelników. Atutem w wypożyczalniach jest już sam temat z historycznym bohaterem tak sympatycznym jak Łukasieński, z romansem bohaterem tak „warszawskim” jak Wolski, z perypetiami podobnie wzruszającymi nie raz i awanturycznymi jak w powieściach Wiktor Hugo. Te właściwości sprawiają, że książka Hołuj ma możliwość wpływać na wyobraźnię, a więc warto rozważyć, w jakim będzie wpływać kierunku.

Problemem, który zainteresował Hołuj, był demokratyczny wątek dziejów Polski w latach 1817—1846. Zajął pisarza przyczyna załamania dążeń wywoleńców — rewolucyjnych w roku 1830 i perspektywy ich dalszego rozwoju w dziejach świadomości społeczeństwa polskiego. Raz jeszcze, inaczej, zostało tu podjęte zagadnienie, które po raz pierwszy w sposób rewizjonistyczny postawił Kruczkowski.

Aby odpowiedzieć sobie na pytanie o rok 1830 — postanowił Hołuj sięgnąć w głąb i wstecz w życie ludu polskiego. Wprowadza do powieści chłopów, żołnierzy, rodowite dzieci plebsu warszawskiego. Rysując szeroko nurt społeczny, którym płynię ich życie, uwiadczenia przyczyny, jakie złożyły się na uklad sił powstania, uformują obraz jego dziejów.

Dwa tomy, które otrzymaliśmy obecnie (trzeci i czwarty — są w druku), nie mówią jeszcze o nocy

listopadowej, która była tematem pierwszej wydanej Hołuj powieści pt. „Próba ognia”. W „Burzliwych żywiołach” i „Twierdzy” przedstawione zostały dzieje spisku Łukasieńskiego. Temat to świeży i budzący zainteresowanie. Ujęcie zaś Hołuj jest nowe w tradycji naszej powieści historycznej. Nowość stanowi tak duża rola oddana postaciom z „masy”. Zwraca uwagę nie tylko bogactwo materiału historycznego, ale i solidność psychologicznego ujęcia. Powieściopisarz wkłada wiele sił w ożywienie (po raz pierwszy na tę skalę) świata ludzi doład bezimiennych, których losy wymykały się uwadze historyków i powieściopisarzy obrazujących przede wszystkim dramat szlachecki.

Spisek patriotów z Łukasieńskim na czele został umieszczony przez Hołuj na tle obrazu życia mas, nie ogarniętych ruchem umysłowym i politycznym przodującej garści społeczeństwa szlacheckiego. Pisarz pokazał, że oba te nurty, szeroka rzeka ludowa i mały strumyk szlacheckiego spisku reprezentują wielkie sprawy: potrzebę wyzwolenia spod jarzma ucisku społecznego i walkę narodowo-wyzwoleńczą. Oddał patos moralny dwu światów, którym tak trudno było o porozumienie i współdziałanie. Dlatego też w powieści Hołuj odczuwamy prawdziwy tragizm patriotycznego działania spiskowców 1825 i 1830 roku. Hołuj bowiem nie rzuca, jak niegdyś w swej świetnej powieści Kruczkowski, wyroku potępienia w imię racji klasowej ludu na szlachecki ruch wywoleńczy polskich powstań XIX wieku. Docenia jego — tragicznie ograniczoną, nie mniej nie wątpliwą postępowość historyczną. Składa hołd pięknu dążeń szlacheckich rewolucjonistów, co wyraża się w głęboko odczuty obrazie dziejów spisku Waleriana Łukasieńskiego.

Dlatego z dużą siłą przemawia patriotyzm tej książki. To nie powinno nas jednak wprowadzać w błąd co do jej charakteru. Jak wprowadził w błąd niektórych recenzentów.

I tak Włodzimierz Maciąg w swojej recenzji z „Królestwa bez ziemi” (Nr 171 „Życia Literackiego”) niesłusznie stawia książkę Hołuj w rzędzie obcych jej duchem i kierunkiem powieści historycznych. Dziwnym nieporozumieniem jest przypisywanie powieści Hołuj patriotyzmu... „Wiernej rzeki” i to w sensie pochwały dla współczesnego pisarza. Z faktu, że Hołuj potrafił zrozumieć ludzi z Towarzystwa Patriotycznego i wzruszyć ich losami czytelnika, krytyk wysnuł najniebezpieczniejszy wniosek, jakoby pisarz był chwalcą

tradycyjnej polszczyzny, której istotę ma stanowić hamletyzm narodowy wyrażający się w dziejach naszych powstań szlacheckich. Przypisując Hołujowi związek uczuciowy z poglądem historycznym tak minionym, fałszywym poznawczo i wychowawczo, robi mu krytyk prawdziwą krzywdę. Odczytuje bowiem zupełnie opacznie intencje książki, która ma wymowę na wskroś nowoczesną i przyczynia się do rozwiania w nawykach naszej wyobraźni wielu zastarzałych legend, kulturowanych przez bogoczytną tradycję historyczną. Hołuj śladem Kruczkowskiego głęboko przeorywa legendę naszej historii a, oteuszającej szlachecki hamletyzm i odkrywa nieujawnione dotąd oblicze leżących pod warstwą szlachecką szerokich warstw narodu, mas plebejskich.

Nadanie licznych bohaterom powieści przekonywających rysów umożliwiło Hołujowi pracowite studia historyczne. Z powieści jego dowiadujemy się wiele nowego o Polakach XIX wieku, których dotąd znaliśmy przeważnie z ujednoliconych, konwencjonalnych wzorów historycznych, z lektury z „dziecinnej pokroju”. „Królestwo bez ziemi” posiada dużą wartość poznawczą, co ma w powieści historycznej nie yle jakie znaczenie. Ten nowatorski charakter książki uwiódł dotychczas drogą rozwoju duchowego jej bohaterów. Wiedzie ona o indyferentyzmie narodowego u eksploatowanych przez szlachtę chłopów, poprzez obudzenie się patriotyzmu w masie żołnierskiej, aż do dojrzewającej na popowstaniowej emigracji świadomości demokratycznej „Gromady Grudziądz”.

Z perspektywy rozwoju tego demokratycznego wątku dziejów Polski przedstawiony został też obraz spisku Łukasieńskiego. I to jest w tym obrazie ciekawe, to są te nowe proporcje, wzbogacające nasze widzenie epoki. Nie w odmalowanie bowiem raz jeszcze dramatu hamletyzmu Kordiana włożył swoje serce autor, jak chciałby mu przypisać Maciąg. Wymowa tej książki i specyfika jej artyzmu służy odkrywaniu dróg nieznanego żołnierza polskiego lat 1825—1830 i 1846.

Dotknięcie, jakkolwiek zarysował pisarz obraz konfliktów klasowych społeczeństwa polskiego w niewoli, zaznaczał różnicę między uciskiem, jakiego doświadczał Polak szlachcic i Polak chłop. Dobrotliwy, liberalizujący szlachtę Kajetan Jurzyński, spadkobierca tradycji kościuszkowskich w swoim mniemaniu, nie spozostrega jak bardzo się od nich oddala powodowany interesami własnej klasy. Nie potrafił w istocie bynajmniej zrozumieć losu i racji mas chłopskich, ich drogi, tych „glu-

pich rur”, w obronie których — do czasu — oręduje. Do czasu, nim zacznie ich wyzyskiwać, porwany kapitalistycznymi perspektywami bogacenia się. I eksploatowani chłopci często nie są w stanie zrozumieć pojęcia polskości monopolizowanej przez takich jak Jurzyński i wielu gorszych od nich.

Nie ma w tym nudy powtarzania nauk podręcznikowych, a jest waga prawd, ludzkich doświadczeń plebejskich bohaterów powieści. Zastępuje na podkreślenie psychologiczną prawdą wielu obrazów powieści Hołuj. Rzetelny artysta potrafił nam nie raz odkrywać fakty jak gdyby na nowo, choć przecież znamy je z teorii — zdawałoby się — „na pamięć”. Do tego rodzaju obrazów należy wędrowka chłopów lipkowskich po sprawiedliwości do Warszawy, dalej początki gospodarki kapitalistycznej w Rudzie, kreślone z bałkowskim zacięciem; nieublagany szczegółowy obraz okrutnej dyscypliny żołnierskiej w wojsku Konstantego; doskonale w swojej surowości więzienne sceny w twierdzy zamojskiej, przypominające „Zapiski z Martwego Domu”. Ich autentyzm czerpie swą siłę z obozowych przeżyć autora.

Mocno, dobitnie znaczy się dramatyczny los chłopów w powieści Hołuj. Pisarz oddał całą trudność i powolność dojrzewania poczucia patriotyzmu u przedstawicieli klas spychanych w ojczyźnie na poziom niewolnictwa. Ukazał też siłę przebijającej się świadomości, narastającego nurtu demokratycznego wśród plebejuszy, nurtu, który będzie trwał ostatecznie wolności, niż mógł być ruch szlachecki.

Jest w książce Hołuj nie tylko pasja społeczna, ale i to szersze spojrzenie, które pozwala przedstawić złożoność i tragizm sytuacji historycznej bohaterów zarówno ludowych jak szlacheckich. Jest umiejętność wczucia się w ich ból i gorzyc z powodu poniesionych klęsk i porażek.

Dzięki temu właśnie nie spłycone zostały postacie historyczne, dzięki temu mają one trójwymiarowość prawdziwych przeżyć psychicznych. Mało dotychczas portretowaną w beletrystyce postać Waleriana Łukasieńskiego ukazał Hołuj ciekawie, bez wielkich słów oddał jej wielki patos. Charakterystyka epoki, reprezentujących ją ludzi jest żywa, plastyczna. Z książki bije sympatia dla człowieka i jego rozumienie spraw ludzkich. Przemawiają do czytelnika indywidualność z ludu, mające dużo wdzianku osobistego — jak młody drukarz Tomasz Wolski, zakochany racjonalista, nieszczęśliwy żołnierz, reprezentujący ludowe, nie szlacheckie poczucie honoru. Żywa postacią jest dziecinny Matus Bo-

rek, nie konwencjonalny, daleki od sentymentalnego wzorku Janków-Muzykantów „mały stary”, chłopskie dziecko rzucone w tryby twardego świata przemocy, ścierających się interesów. Postacie te mają swoisty urok, nakreślone są z surową, nieozdobną prawdą. Tworzył je autor idąc tropami dokumentów, materiałów historycznych. Przytoczmy jego słowa na ten temat:

„Skąd brałem bohaterów? Tomasz Wolski. Był taki. Znalazłem go w komunikacie o rozstrzelaniu za wypadki 15 sierpnia pod tym nazwiskiem i z dodatkiem „dymisjonowany żołnierz”. Podobnie Fila (naręczona Michała Jurzyńskiego). Postać Ani wzięta jest w połowie z historii, autentyczna Ania była kochanką famulusa Łukasieńskiego (Miecznikowski) i istotnie pociągała się z Mackrottem. To wszystko jest autentyczne...”

Artyzm tej powieści niewątpliwie czerpie swą siłę z bogatego, starannie przyswojonego przez pisarza materiału historycznego. Ciekawie zarysowany został wątek polityczny powieści, klimat polskiego spisku patriotycznego i sporów ideologicznych dzielących spiskowców. Mniej natomiast przekonująco odmalowani zostali dekabryści rosyjscy. Żywej atmosfery myśli rosyjskiej inteligencji postępowej nie udało się Hołujowi odwzorować. Mimo woli autora, dekabrystom w powieści przypadała rola raczej mentorów, niż katalizatorów sympalii. Zdać się, że tego materiału historycznego nie oparowała dostatecznie wyobraźnia twórcy, nie poruszała się w nim dość swobodnie. Język powieści w miarę szorstki, bez przesady podbarwiony nalołem gwarowości lub warszawizmem w dialogach — oddaje atmosferę epoki. Nie znajdziemy tu tradycyjnych, słodzonych wdzięków „poetyczności” w opisach natury — a jednak... Hołujowski pejzaż jest niemal mapą plastyczną, na przekór zwyczajowym powieściowociom i koronkościom takich obrazów: „Wypelzle z letnich upałów niebo pomięte białymi obłokami, jakbyś na siwą misę rozlał kwaśne mleko ledwo rozbełtane...” (tom II, str. 22). Polska — chłopska lub miejska — zima tchnie z tych kart swoim prawdziwym tchnieniem, ciepłem ludzkiego oddechu, zapachem gospodarki chłopskiej, koszar czy traktierni. Trzeźwy, nie skonwencjonalizowany i nie przykraszony obraz życia, ukształtowanego przez twarde warunki społeczne, sensu- alistyczny opis — składa się u Hołuj na widzenie historyczne odrębne, oryginalne i pełne plastyki.

Nie na niespodziankach intrygi polega wrażenie wywierane przez książkę Hołuj — raczej na sile, do której wznosi się często (nie zawsze)

jego narracja. Postacie jakby toporem ciosane, nie rzeźbione i nie cyszelowane — zatrzymują uwagę.

Z tą specyfiką prozy Hołuj łączy się jednak również pewne jej słabsze strony. A więc prawie jedynostajność, mało różnicowane napięcie akcji. Skłonność do wyjaśniania przez autora wszystkiego naprzód, brak pozostawiania czegośkolwiek w aluzji, dla domyślności czytelnika. Z góry na przykład wiemy, że Henryk Mackrott jest szpiegiem, że Frutza wyda dezerterującego Wolskiego itd. Takie samo przekomentowywanie, wbijanie jednego gwoźdźca dwa razy, zachodzi również w sprawach istotnych dla konstrukcji książki, w sprawach ideologicznych. Teza o fatalnym wpływie oderwania ruchu patriotycznego od mas ludowych na obrót wypadków z początku nader przekonująco przemawia z ukazywania faktów. Potem jednak — mimo woli autora — staje się motywem natrętnym, ponieważ Hołuj nie potrafił się powstrzymać od zbyt technicznego interpretowania jeszcze i jeszcze przykładów na to założenie. Skutkiem tego interesująca postać Wolskiego miejscami traci samodzielne życie i drewnieje. Nienaturalna się wreszcie staje jego hardość już „z urzędu”, z jaką stale poucza spiskujących panów, nie omijając ani jednej okazji w rozmowach, choć przecie charakter poznajemy nie tylko ze słów.

Również i wymiar wypadków tu i ówdzie traci wskutek zbytniego rozwałkowania powieści, która po takich mieliznach, pozabawionych siły ewokacji obrazów dopiero na nowo skupia się w sobie i nabiera szczytów patetyczności.

Nie zawsze szczęśliwą rolę odgrywa również w prozie Hołuj wątek sensacyjny. Często odmalowuje on dobrze, realistycznie to społeczne — tak jak w romansie szelmowskim. Kiedy indziej jednak, wklajając zbyt- nio w intrygi postać bohatera reprezentującego wielką sprawę, odejmuje nieco tej sprawie powagi. Podobnie częste, cudowne a dwuznaczne moralnie ratowanie bohatera z opresji wprowadza pewne zamieszanie do uczuć czytelnika wobec tej postaci. W ogóle wadzi nieco jednolitej reakcji uczuciowej czytelnika pewne upodobanie autora do kreślenia postaci ze skazą moralną. Tak na przykład pozytywna Ania frywolność swoją posuwa aż do roman- su z agentem policji. Autentyczność materiału nie jest usprawiedliwieniem, gdyż twórca ma prawo wyboru. Słowem, element melodramatyczny spłyca niekiedy tę powieść historyczną zbliżając postaci bohaterów ludowych do wodewilu (na przykład małżeństwo Nalepy z Andzię Pysznową).

Janina Preger

Wyróżnienia państwowe w dziedzinie literatury



Andrzej Braun



Maria Jarochońska



Jerzy Jurandot



Anna Kamińska



Tadeusz Konwicki



Kazimierz Korcelli



Wilhelm Mach



Weronika Tropiczyńska - Ogarkowa



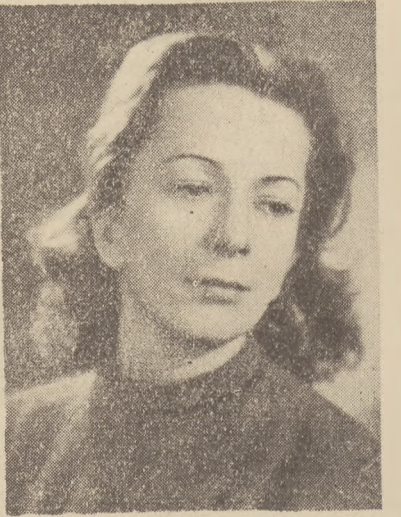
Stanisław Pięta



Seweryn Pollak



Zdzisław Skowroński



Wisława Szymborska

